



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

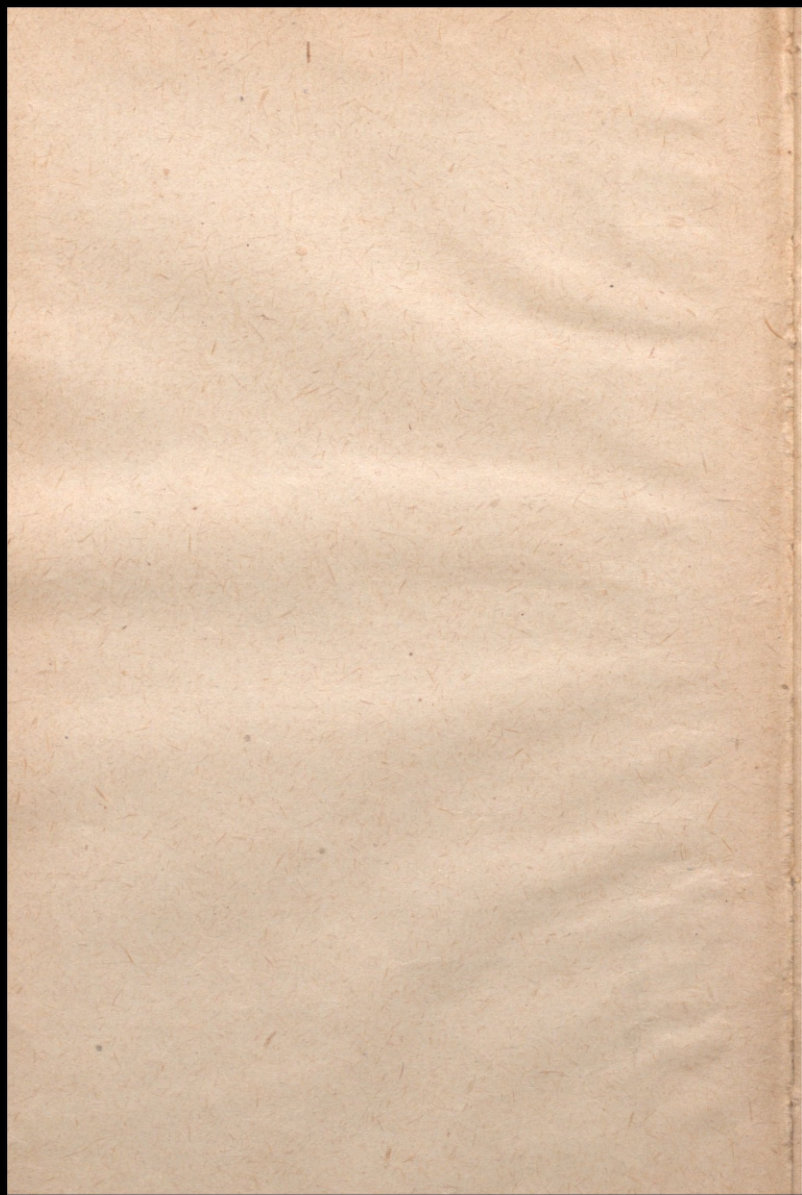


Colour Chart #13





**PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA.**



b. 216

PAMIĘTNIKI  
KAJETANA KOŹMIANA

OBEJMUJĄCE

wspomnienia od roku 1780 do roku 1815.

CZEŚĆ II.

WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.  
1907.



10072

7

Starościna, gotując raz suty kulig do Godowa, mieszkania Łąckiej, kasztelanowej sandomirskiej, uprzedziła ją, że ją z licznem weselem wiejskiem napadnie. Zbierała więc jaknajwięcej par, bo sobie zamierzyła najmniej w sto osób tę zabawę wyprawić. Spotkawszy się więc z ojcem moim tak go prosiła, tak go molestowała, że on, acz poważny i w swoich zasadach obyczajowych do tego stopnia surowy, że nam na żadnych zabawach publicznych, na redutach i jarmarkach znajdować się nie dozwalał, nie oparł się naleganiom naprzykrzonej starościny, nie wzbronił nam należeć do tego kuligu i na stroje wiejskie dał nam pieniędzy. Przystosobiliśmy więc sobie żupany granatowe z karmazynowemi kołnierkami, lamowane srebrnymi szychowemi galonami, czapki karmazynowe krakowskie, białe rękawiczki przez ramiona i w tym ubiorze czekaliśmy na to wesele we Wronowie u Goltza szambelana, niegdyś Augusta III, sfarca siedemdziesięcioletniego, oświeconego i poważnego, który miał dwie córki niezamężne już przez starościnę do kuligu zamówione. W tem miejscu na trakcie między Bełżycami,

a Godowem położonem, na hasło przez starościnę wydane, mieli się zjechać ci wszyscy, którzy za Belżycami mieszkali. Czekaliśmy więc aż do wieczora, już w kilkanaście sani zebrani, gdy dopiero zmierzchem wszczął się od austeryi wronowskiej krzyk, wrzawa, śpiewy i odgłosy muzyki na dętych instrumentach, trzask biczów i jak jaki uragan ta burza z trzydziestu sami złożona opadła przed gankiem. Dom ledwie mógł pomieścić ten tłum, udający pijanych chłopów, skaczący lub taczający się po pokojach. Starościna zaraz na wstępie oświadczyła, że ją dwóch członków z kuligu zawiodło i czekać tu na nich musi. Tymi członkami byli dwaj eleganci lubelsey, Trzeciński ze Strzyżowic i Grajewski z Jabłonny, pierwszy wysoki, otyły, po francuzku bez umiejętności francuzkiego języka noszący się, w grzecznościach wyszukany, w chodzie teatralny, w rozmowie wysadny; drugi konwiktor warszawski, bardzo przystojny, delikatny i przyzwoity. Starościna oczekiwania tego użyła na namowę starca zacnego i trzęsącego się od starości Goltza, aby się w kulig ten wnięszał. Ani wiek tego starca, ani przełożenia córek, ani gniewy, łajania i uwagi nie pomogły. Musiał sędziwy Goltz, dla dogodzenia kaprysom pani na frak włożyć sukmanę i w tym stroju w peruce niemieckiej na głowie powiększyć kuligowe grono, dozwołonem mu tylko zostało jechać osobno w karecie, na saniach z obiema córkami. Gdy już się ściemniało, a starościna nie mogła doczekać się przybycia elegantów, już w pomroku ruszył cały orszak z kapelą na czele i z marszałkiem, wywijającym różgą na przodzie. Burza się

zerwała, wicher, śnieg, ciemność, jedne sanie mijają drugie, inne najeżdżają i trącają dyszlem, inne się wywracają; weselnicy babrzą się w śniegu, krzyk, wrzask, śmiechy, nie dla jednego bolesny przypadek, dla pani uciecha i radość. Trzeba było las przebywać, musiano pochodnie zapalić. W tem odezwała się trąbka pocztowa, od ostatnich sanek aż do poszóstnych pani starościny dochodzi głos: „Trzeński, Trzeński, Grajewski”; już starościna woła „stój”, zastanawia się cały orszak nie bez przypadków potrącenia dyszlami. Pocztowe sanki przesuwają się i stają obok sanek starościny. Eleganci w trzewikach, pończochach, w frakach, z ufryzowanemi i upudrowanemi tupetami, chcą panią witać z sanek. Starościna woła: „Wysiądźcie”. Każą sobie podesłać skórę niedźwiedzią i zbliżają, się chcąc pocałować rękę pani, rączka ta wśród wyrzutów chwyta za tupety, gniecie i czuchra. A gdy się wyjawily trzewiki, pani woła na kapełę, każe grać kozaka i przymusza elegantów tańczyć po śniegu. Nic nie mogły gniewy, prośby; zaraz hajducy byli na podręczu, musieli się eleganci babrać, zamoczyć i tak spieszyć do Chodla, miasteczka po drodze, gdzie dla prześlągania pani przebrali się w sukmanki. Napada więc ten orszak z hałasem dom spodziewającej się kasztelanowej sandomirskiej: tańcuje, hula, je, pije przez parę dni, przewraca do góry nogami dom, bo nie jedno lustro strącone różgą marszałkowską, nie jeden sprzęt złamany przez rubaszných družbów. Po odjeździe tego napadu wystawiał dwór obraz nieładu jakby po rabunku.

Drugi podobny temu kulig wyprawila staro-

ścina o trzy mile do Markuszowa do wojewody lubelskiego, Hryniewieckiego, wdowca, starca siedemdziesięcioletniego, rządowego gospodarza, żyjącego z przystojną oszczędnością, a że słabowity i spokojny wojewoda na sam odgłos tej burzy, przebiegającej okolicę, przeląkł się i to do pani starościny doszło, więc umyśliła mu sprawić niespodziankę, ledwie ją skłonioną, że przez uszanowanie i wieku i zdrowia i urzędu wojewody, doniosła mu listem o swojej chęci. Przeraził się starzec i o siebie i o swój pałac, który został świeżo wyreperowany i odświeżony na przejazd Stanisława Augusta. Rządny w domu i zamożny nie dbał o wydatek, lecz o hałas i nieporządek, których był nieprzyjacielem chodziło mu. Z początku myślał wyprosić się i ujechać, ale w zimie zawsze zamknięty w ciepłym pokoju i dla obawy paraliżu nie wychylający głowy za próg jego, ujrzał, iż jest koniecznością nieuniknioną przyjąć i wołał się przygotować, jak by znienacka napadniętym lub obrazić panią, wymówił tylko sobie, aby kulig był bez podkówki od butów. Wpadł więc do niego ten kulik w dzień umówiony, lecz przy drzwiach do wielkiej sali stanęło dwóch hajduków z młotkiem i obcęgami, i rozkazywało gości, odrywając drużbom podkówki u obcasów, aby nimi woskowanych posadzek nie porywali. Wojewoda chociaż sędziwy, lubił młode i piękne twarze, a było ich dosyć. Gościnność i ciekawość przemo-gły w nim bojaźń o zdrowie. Drzwi od swego pokoju kazał na rozcież otworzyć, aby się mógł temu udanemu weselu przypatrzeć. Ubrany w żółte buty, żupan biały dymowy, kacawejkę takąż żółtego ko-

loru z niebieskimi atlasowemi wyłogami, z twarzą podwiązaną białą chustką pod brodę, z głową łysą, okrytą czarną atlasową czapeczką, jakby księżą, papalinką zwaną, uważał przesuwające się pary, a gdy spostrzegł jaką twarz ładną, wypadł do sali jak pajak z pajęczyny, czyhający na muchę, łapał, całował i ścisnął; jakoż tak się rozochocił, że przez dwa dni kulig w swym domu zatrzymał.

Gdy podczas sejmu 1783 zbierano wojsko, starosta sieradzki jako rotmistrz kawalerii narodowej, chociaż nie odmienił stroju polskiego na kawalerską kurtkę, przybrał czamare polską ze szlifami i z ładownicą, a szwadron zapelniał młodzieżą z kancelariów i okolic. Konsystencyą tego szwadronu wyjednał do Bełżyc. Młodzież i oficerowie szczęśliwi byli, że w domu swego rotmistrza znajdowali grono młodych panien, zabawy, tańce i codzienne uczyty. Starościna zachciała zaraz podzielić wojskowość męża, przybrała się więc w kurtkę mundurową ze szlifami, i tak się na czele swego żeńskiego szwadronu ukazywała na mustrach.

Ten rodzaj życia w Bełżycach w miarę zmian okoliczności politycznych, przybywającego wieku a ubywającego zdrowia i fortuny podpadł ograniczeniu, jednak chociaż mniej bałaśliwie, tłumnie i wystawnie przeciągnął się aż do końca rządu austriackiego. Starościnę zgnębiła chiragra i rodzaj osobliwszy słabości, że przez pół roku to jest przez całą zimę była smutną i prawie niemą, w letniej porze napadały ją dawne chęci i skłonności. Kazala się wozić po sąsiedztwach i tam ciągłą gadatliwością wyjawiała pomieszany umysł; w tym

stanie umarła, rozpisawszy fortunę między męża i krewnych. Starosta lat parę ją przeżył, mało się udzielał, lecz nawidzano go jako zacnego i szanownego człowieka, nakoniec zrobił się samotnikiem, w samotności wciągnął się w używanie trunku i umarł bez niedostatku fortuny, gdyż ta i z zapisu żony i dożywocia mimo tak rozrzutnego życia wystarczała na przyzwoite starości wygody.

W zupełnej sprzeczności co do sposobu życia z Bełżycami był w lubelskim domu w Gościradowie Prażmowskiego, starosty mszczonowskiego, osobliwszego człowieka, do którego nigdy obywatelstwo lubelskie przyzwyczaić się nie mogło. O ile w Bełżycach dom, gościnność jego i cały sposób życia był uprzejmy, polski, zupełnie narodowy o tyle w Gościradowie był dom zagraniczny, obcy obyczajom polskim, zamknięty w sobie, zgoła z trybu i sposobu życia do najmniejszych szczegółów cudzoziemski, a lubo Prażmowski przez żonę był spokrewniony z licznymi rodzinami, te rodziny nawet unikały go, gdyż pojąć nie mogły tego osobliwszego aż do śmieszności w swoim rodzaju człowieka. Opiszę tu jego osobę nie dla samej ciekawości, lecz dla przestrogi, jak daleko żądza niebaczna odróżniania się od innych i skłonność nasza do cudzoziemszczyzny może zaprawić śmiesznością i umysł i ciało.

Eligiusz Prażmowski, syn majątnego obywatela w Mazowszu, w ziemi ciechanowskiej, starosta mszczonowski, reprezentant imienia znanego w historii przez owego Prażmowskiego prymasa, który po abdykacyi Jana Kazimierza na sejmie konwokacyj-

nym prowadził i popierał księcia Kondeusza, i stale się partyi francuzkiej trzymał, a zatem z imienia nie obcy dworowi francuzkiemu, na początku panowania Stanisława Augusta wysłany był, czy też sam dla dokończenia wychowania udał się do Paryża. Cokolwiek się oglądziwszy znalazł łatwy przystęp do dworu Ludwika XV i do wszystkich znakomitych osób dwór ten otaczających. Przebywając tam, tak się zaentuzjazmował tym dworem, że prawie ułożył sobie rzecze się swej rodowitości polskiej, a przerobić się zupełnie na Francuza dworu Ludwika XV aż do najmniejszych odcieni. Mając pieniądze i będąc młodym, nierozważnym i nieostrożnym, wpadł w ręce jednego Francuza szarlatana, nazwiskiem Ponseta, który zrobił sobie projekt na szkatułkę panicza polskiego. Udając więc przed nim uczonego i przedsiębiorczego człowieka, wystawił mu i przekonał, że w tak ludnem mieście jak Paryż, można by się w mgnieniu oka milionowej fortuny dorobić, a to z wychowania i sprzedaży kurcząt wylężonych bez kwok, lecz sztucznem ciepłem tego samego stopnia, jakie pióra kur dają, okazał pewność dokazania tego i zyski tak jasno wyrachował, że Prażmowskiemu 200,000 złotych do spółki zachwyił. Założyli więc dom wielki, urządzili piece, krocie czy miliony jaj zakupili; te się pod sztucznem ciepłem zatęchły, przedsiębiorstwo się nie udało, Francuz szarlatan skrył się i uciekł, wierzycciele obsiedli młodego i nierozważnego Polaka, musiał się udać po pieniądze do Polski i ledwie się wykupił od surowości praw francuzkich. Można sobie wystawić jakie już uprzedzenie o nim w umy-

slach kontuszowych współziomków poprzedziło powrót jego do Polski; cóż dopiero gdy się w kraju, a szczególnie na prowincyi w osobie jego zjawiał przesadzony Francuz z dworu Ludwika XV, bo my nie umiemy wyborowo naśladować, przesadzamy we wszystkim nawet w modach. Werżet na głowie pod samą skórę wystrzyżony, upudrowany grubo, loki zawinięte koło uszów, włosy z tyłu głowy ujęte i schowane w szeroki czarny worek jedwabny, plecy pod tym workiem upudrowane, frak czy w zimie czy w lecie atlasowy, kanarkowy z fioletowemi takież wyłogami, guziki szklnięce, a pod szkłem w nich cały zbiór robaków jakby z gabinetu historii naturalnej, gąsiennice, chrabąszcze, motyle, niedźwiadki, żabki, jaszczurki. Kamizelka i spodnie podobnież fioletowe atlasowe z haftowanemi w różne kolorowe desenie szlakami i podwiązkami, sprzączki szklnięce stalowe, pończochy jedwabne białe, przy trzewikach ogromne sprzączki złote lub srebrne i kamieniami ubrylantowane, pod frakiem szpada jak rożenek w białej pochwie okutej stała z rękojeścią stalową, na której wisiały różne łańcuszki i trzęsidła z brylantowanej stali. Oto jest obraz tego zjawionego w województwie parzyckiego eleganta, istna lalka na karetach francuzkich malowana, łatwo pojąć jak wężata i kontuszowa szlachta obzierała ją i z jak szyderym uśmiechem spoglądała na nią. Prażmowski posiadał w lubelskiem starostwo łopiennickie na pograniczu dawnej Polski od Rusi Czerwonej leżące, ożenił się zaś z młodą i bogatą dziedziczką Wybranowską chorążanką lubelską, która mu od dwóch milionów posa-

gu w ziemi nad Wisłą i za Wisłą przyniosła. Dzie-wica ta przez bardzo zanego ojca przyzwyczajona stała się prawdziwą męczennicą kapryśnego i dziwaczego modnisią i całe życie nią była w domu i za domem. Nie dozwolił jej nawet ubierać się podług swej woli, lecz sam ją ubierał, sprostował jej nie tylko suknie, stroje, trzewiki z Paryża ale szczególnie gorsety à la Pompadour, w które ją sam wciskał i sznurował tak mocno i ściśle, że jej piersi prawie pod brodę dochodziły, a stan musiał być tak cienki, żeby go pięścią można było objąć, trzewiki na wysokich korkach tak ciasne, że dziwić się trzeba było, jeżeli bez bólu stopą ruszyć mogła. Prócz tego, chociaż była świeżą, kazał się jej bielić, twarz blejwasem malować tak, aby na niej znać było proszek, brwi czernić i lice pstrzeć muszkami i jak moda kazała rogówki nosić. Tak te dwie wystrojone lalki pokazywały się po balach trybunalskich i w pierwszych domach szczególnie, w Opolu, u księżnej kasztelanowej krakowskiej Lubomirskiej, gdzie nieraz występowały do menueta, w którym pani starościna mszczonowska ledwie się ruszać mogła, a pan starosta z całą gracyą francuzką zakreślając swoje ruchy, nogami wyrabiał wszystkie prawidłami sztuki przepisane skoki. Prażmowski wywiózł z Paryża rzadki talent muzyki. Grał na skrzypcach lewą ręką po mistrzowsku i był istotnie pierwszym skrzypkiem w Polsce, lecz tak wiele przywiązywał miłości własnej i próżności do swoich koncertów, które u niego wypraszano, że te o ile pieściły ucho, o tyle przez kapryśną i dziwaczną pedanteryą artysty nieznośnemi się sta-

waly. Na orkiestrę towarzyszącą mu tupał, gniewał się, takt jej wybijał. Niechże kto ze słuchaczów kaszlnął lub krzesłem ruszył, rzucał z gniewem skrzypce powtarzając „*On ne peut pas, on ne peut pas*” i ledwie się potem dawał przebłagać. W domu swoim szczególny sposób życia zupełnie anti-wiejski zaprowadził. O pewnej godzinie zgromadzano się na pokoje, a raczej schadzano; pani starościna z panem starostą, bo mało kto bywał. *Nos ambo, turba sumus*. Po obiedzie koncert pani starościny na fortepianie, wieczorem pana starosty na skrzypcach. Słuchaczami byli oficjaliści i liberya. Prócz tego od przejeżdżających wymagano, aby się w przedpokoju meldowali, co zraziło w narodzie republikańskim wiele osób, a nawet i krewnych. A tak gościnność państwa starostwa jałowiała, mimo wybornej ich kuchni, która zwykła ściągać gości. Wystawił pan starosta sobie dom murowany, pałacowym kształtem, ale że i do architektury znajomość sobie przywłaszczał, i na tym domu dziwactwa swego położył piętno. Czoło i przysionek tego domu nie czterema, jak zwykle proporcya i natura wymaga, lecz tylko trzema podparł kolumnami. Średnią więc przecinała drzwi wehadowe, tak że w zmierzchu, kto się nie spodziewał znaleźć przy wejściu przeszkody i nie wiedział o tej niespodziance, zwykle guzem na czole ją przeplącał. Jak był oryginalnym i dziwaczniejszym, i więcej upartym okazał się w gospodarowaniu i zarządzaniu swemi dobrami. Co tylko zagranicą w różnych krajach widział, o czem tylko zasłyszał, co w zagra-

nicznych gazetach i pismach wyczytał, zaraz bez żadnej krytyki, bez uwagi na klimat, powietrze, ciemnotę rolniczej ludności, brak zręcznych wykonawców, bez żadnego rozsądnego zastosowania wprowadzał. Ziemię tak głęboko poodać a raczej pokopać kazał, że ta mimo marglowania, wapienia, rodzić przestała; tak rzadko siał zalecił, iż rzadkie kłosa chwiała się na niwach. Młócić kazał bydlęm przez przepędzanie trzody po nasłanych snopkach; ztąd kłosa nie wymłócone dobrze, zmoczone, skalane i uszkodzone przez trzodę ochudzoną głodem. Zboża takiego nikt kupić nie chciał. Zamiast za radą oficjalistów wrócić się do dawnego trybu, kazał pętać pyski bydlu a pod ogonami skórzane worki wiązać, ztąd bydlę grzechotem suchej skóry przestraszone rozbiegało się, uciekało, ztąd śmiech i żarty w sąsiedztwie, lecz upór wolał pośmiewiskiem zostać, jak się skłonić. Stracił więc intratę, dłużył się, oczekując daremnie spodziewanych korzyści. Gdy przecież na jednym z małych folwarków wpływem urodzajnego roku okazały się piękne zbiory, zgromadził do siebie wszystkich ekonomów, przygotował nagrodę dla tego, który tym folwarkiem zarządzał i odezwał się do nich: „Nie wykonywacie ściśle moich zarządzeń przez waszą ciemnotę i upór i dlatego się lat kilkanaście nie rodzi; ty panie N. N. wykonałeś je, i doczekaliśmy się pięknego urodzaju, oto masz nagrodę”, i wyliczył mu dwieście złotych. Ale stary wąsaty Polak i sumienny sługa rzekł do niego: „Jaśnie Wielmożny Panie, sumienie moje nie pozwala mi brać nagrody, do której prawa niemam, bo właśnie dla tego się urodziło, że żadnej dyspozycji

pańskiej nie wykonałem, orałem i siałem po dawnemu". Strącony Prazmowski z swego tryumfu, rozgniewał się, oddalił ze służby pocziwego ekonoma, a zacięty w uporze sposobu gospodarowania nie zmienił aż do późnego wieku, bo żył aż do połowy bytu księstwa Warszawskiego, i zawsze w starości nawet był jeden i niezmienny. Jak w początku panowania Stanisława Augusta był świeżym oryginałem z wieku Ludwika XV, tak w późniejszych czasach został starożytną tej epoki pamiątką. Chociaż tyle zmian w obyczajach, w strojach zmienna moda wprowadziła, on wszystko staroświeckie zachował. Znałem go dobrze osobiście, w późnym jego wieku w tych samych sukniach z werzetem upudrowanym. Widziałem go w najtęższy mróz w trzewikach, pończochach, z odkrytą głową, chapeau-bas pod pachą, w niedowiedziej kierej idącego przez miasto, i widziałem go w Opolu, tańczącego menueta u księcia Aleksandra Lubomirskiego. Przeżył żonę, która była bardzo zacną i oświeconą kobietą, lecz w obecności męża tak nieśmiała, że jak mumia martwa nigdy ust nie otworzyła, lecz w nieprzytomności męża umiała się okazać tem, czem była, przyjemną i oświeconą. Sam starosta mimo tych powierzchownych przywar w grucie był człowiekiem prawym, zacnym, zaczęto mu nawet przebaczać te jego śmieszności i miał poważanie tych, których jego dziwactwa nie odrażały. Czytający o nim artykuł przebaczą mu jego nawyknięcia, gdy sobie przypomną w jakim urodził się i żył wieku, gdy się dowiedzą, że nie tylko stolica, lecz i prowincye były pełne tego rodzaju przesadzonych

elegantów, gdy im przypomnę podkomorzego koronnego Potockiego, któremu zazdroszczono furmana francuza, że na koźle siedząc romanse czytał. Rzewuskiego marszałka wielkiego koronnego, ministra, który pół dnia tracił na układanie w fryzurę włosów, i któremu kamerdynerowie napelniali cały gabinet pyłem pachnącego pudru, aby ten zwolna osiadał na jego fryzurze, i który dla piękniejszej płci sypiał z twarzą obłożoną plastrami świeżej cielęciny; gdy im powiem, że Stanisław August Polak, syn dzielnego wojownika kasztelana krakowskiego, który w polskiej sukni umarł, wstępując na tron zalotnością zasłużony, na którym August III cudzoziemiec w stroju polskim, w karmazynowym aksamitnym kontuszu, w żupanie białym, z obstrzyżoną czupryną, koronował się, Stanisław August mówię na ten tron w ubiorze hiszpańskim wstąpił, a przed obrzędem koronacyjnym przed zwierciadłem w gronie najpiękniejszych kobiet układał osobę swoją w teatralnej powagi, a raczej płocności ruchy. Czas to był, w który wrodzona Polakom żądza naśladownictwa obcych do najwyższego stopnia wzrosła, i, bez względu na tyle stronnictw, szarpiących Polskę, podzieliła ją na dwa odrębne zwyczajami, wyobrażeniami, obyczajami i modą narody, rdzenny Sarmatów i Gallo-Polaków, które przezwiskami nawzajem się prześladowały. Tym, którzy odmianę i porzucenie stroju narodowego za obojętną, i nie nie znaczącą, a na obyczaje ojczyste żadnego wpływu nie mającą okoliczność poczytują, odpowiem słowy wyroczeni historyków wszystkich wieków i narodów: „*Inde etiam habitus nostri honor et fre-*

*quens toga, paulatimque discessum ad delinimenta vitiorum, porticus et balnea, et conviviorum elegantiam. Idque apud imperitos humanitas vocabatur, quod pars servitutis esset“.*

Jako zastanowiwszy się głębiej nad przyczynami naszego wynarodowienia się, i okropnemi jego skutkami przyznać musimy tę prawdę, że przez ustępowanie tych z pozoru mało ważnych cech narodowości, mniej zarobiliśmy na oświeceniu i ogładzie, jak stracili na ich skromnej szlachetnej prostocie, na jedrności i harcie charakterów jedynych warunków do utrzymania nie tylko sławy, którą nas prości dobrodusznicy ale waleczni przodkowie okryli ale nawet istnienia politycznego. Z odmianą sukni zajrzała do nas zaraza zbytków, rozpusty i zniechęcałości; z świeższymi wyobrażeniami weszły występki i przywary. Cnót obcych nie potrzebowaaliśmy, bośmy mieli własne ezerpane i z przykładów ojczystych i z historyi starożytnej, na której się nasze charaktery wyrobiły. Staszcie w pomysłach swoich głęboko sięgający, rozwiązując pytanie co to jest narodowość? między główne jej cechy policzył strój narodowy właściwy; byłże właściwszy w stosunku do klimatu, do ostrości powietrza, jak ten ubiór długi, poważny, wygodny, który gdyby nawet nie miał za sobą świetnych historycznych pamiątek, już przez to samo godzien był poszanowania i zatrzymania, że dodawał osobom powagi, a przeszkadzał płochości skoków teatralnych i histriońskich wyginań członków. Byliśmy prawdziwie pod Piastami, Jagiellonami i Wazami, *gens togata*. Zostawiliśmy jak Rzymianie komediantkom, balet-

niezkom i histrionom skoki i hasania. Taniec nasz był raczej poważną przechadzką dla starszych. Krakowiaka i mazura przyswoiła sobie młodzież szlachecka od pospólstwa. Przodkowie nasi od wprowadzenia religii chrześcijańskiej zaczęli się kształcić na historii rzymskiej, wszystkośmy brali z tego ogniska dawnej i nowej cywilizacji. Szlachetna duma, uczucie własnej godności i nawet wyższości z tamąd przyszły. Byliśmy w instytucjach, obyczajach, wyobrażeniach, ubiorach, północnymi Rzymianami, jak teraz jesteśmy północnymi Francuzami. Skutki mówią czyśmi na zamianie zarobili. W szatach polskich i na koniach przy szablach poznali nas Francuzi, gdy nasi posłowie pokazali się na dworze Katarzyny de Medicis, wyżsi oświeceniem, oglądą, znajomością języków od Francuzów. Jakób Sobieski w polskiej sukni na koniu, oddawał wizyty po Paryżu, i przypadkiem przejeżdżał około orszaku Henryka IV, gdy go wysiadającego z karety Raillaac nożem uderzył. Ten sam Sobieski, wysławszy synów, Marka i Jana do akademii paryzkiej, w instrukcyi im napisał „nie uczcie się tańców, bo ich się tu od Tatarów nauczycie”. Jan, służąc w regimencie muszkietarów za Ludwika XIV, i pięknnością postaci i wykształceniem zwróciwszy na siebie oczy księżny de Longueville powrócił do Polski, i prócz języka i oświecenia żadnych obcych zwyczajów nie przywiózł. On to w zbroi pod Chocimem, a w niebieskim kontuszu walczył pod Wiedniem. Działyński w polskiej sukni posłował do Elżbiety, królowy angielskiej. W polskim stroju Jerzy Ossoliński czynił wjazd wspaniały do Rzymu; w kontuszu Karol

Radziwiłł cnotliwy, lecz zwiedziony stanął na czele konfederacji radomskiej. W kontuszu Krasiński, podkomorzy prasznyski podniósł i przewodził konfederacji barskiej, w kontuszu bronił, i religii i ojczyzny Puławski, w kontuszu wołał cnotliwy Reytan, położywszy się na progu izby sejmowej r. 1775, „zabijcie mnie, a nie zabijcie ojczyzny”, w kontuszu powtarzał Korsak na sejmie 1788. „Skarb i wojsko”; a frakowy Poniński zabijał i ćwiertował Polskę, frakowi możnowładcy, podnieśli bunt w Targowicy, frakowi Miączyński i Podchorski, wzniesli na grodzieńskim sejmie projekt podziału i frakowy król Stanisław August, podanym sobie przez nich olówkiem podpisał. Wspominam to nie dla tego, abym usprawiedliwiał dawniejsze jezuickie wychowanie, lub ubliżał zaletom nowego wprowadzonego przez komisję edukacyjną, lecz abym okazał, że *tardiora sunt remedia, quam mala*. Skażenie obyczajów narodowych cudzoziemszczyzną, weszło za Augusta II, rozkrzewiło się pod Augustem III, kwiat i ziarno wydało pod Stanisławem, gdy z wolteryzmem ogarnęła sceptycyzm młodzież i rozwiódł miłość ojczyzny z miłością religii, które w ścisłym z sobą związku wspierały ducha narodowego. Stanisław August, o którym powiedzieć można „*Video meliora, proboque, deteriora sequor*”, sam zarażony nauką encyklopedystów i sceptyków francuzkich, sam wypieszczony modniś salonów paryzkich, i ponętny uczeń dworu Sardanapala francuzkiego, własnym wzorem psuł to wszystko, co wskrzesić usiłował.

Z góry zły przykład idzie z każdej strony,  
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.—

Alę się też nie jeden odezwać może, za co tak wiele przyznajesz wagi strojowi polskiemu, czy już w innym nie podobna być cnotliwym i dobrym Polakiem; nie przeczę temu i widziałem tego wzory w Jędrzeju Zamoyskim, w Stanisławie Małachowskim, w Ignacym Potockim, w Zakrzewskim, w Niemcewiczu i w wielu konstytucyjnego sejmu posłach. Zarzucić mi jeszcze można, czy nie pod szatą narodową nastąpił ów zbrodniczy rokosz Zebrzydowskiego, bunt przeciw Janowi Kazimierzowi Lubomirskiemu, tyle niecnych konfederacyi i spisków wojska; przyznaję, że szata cnoty niezdolna nadać, lecz nikt nie zaprzeczy, że jednak dodaje do miłości ojczyzny i swego rodu i oznaczając odrębnem od innych ludów znamieniem, odróżnia narodowość i że tak powiem strzeże jej od pomieszania się z obcemi. Najlepiej to czujemy teraz, gdy już Polaka od innego krajowca rozpoznać nie można, i gdy się próżno ostatnią cechą narodowości językiem tylko bronimy od wgniecenia nas w inną narodowość, w którą nas nietylko obca ręka, ale własne nasze wyobrażenia, łatwość charakteru, skłonność do naśladowania pod pozorem cywilizacyi lub rozsądku wciskają. Teraz dopiero radziłyśmy wrócić do zwyczajów przodków naszych, kiedy już powrót jest niepodobny. Można mi jeszcze stawić przykład szlachty rosyjskiej, która z zachodu przyjąwszy cywilizacyą, wzięła razem obcą szatę i odróżnia się nią od massy brodatego ludu, a przecież miłości ojczyzny i niepodległości, niezrównany z siebie dała przykład w wojnie z Napoleonem przez spalenie Moskwy i wytrwałą obronę. Na to odpowia-

dam. Inne jest położenie jeograficzne, inne polityczne, inne z sąsiedztwa ludów, inne z ogromu tego państwa i natury rządu samowładnego. Co u nas jest niebezpiecznem, tam słaby i nieszkodliwy wpływ wywiera, przytem religia grecka rozróżnia i zawsze rozróżniać będzie Rossyan od innych katolickich i chrześcijańskich ludów; ta ich broni od wcielania się w obcą narodowość. To, co zwykle nazywają fanatyzmem, jest ich tarczą. My z nowemi wyobrażeniami przez ślepe naśladownictwo Wolterzyści i sceptyce francuzcy, a dziś filozofowie niemiecscy; z naszego wychowania straciliśmy ten ostatni spójnik, który nas z ludem ściśle łączył, a dziś jakby jaki obcy naród rozróżnia. Nakoniec w Rosyi jednego władza wszystkim porusza, wszystkiemu popęd daje. Kiedy u nas z samej formy rządu rozprzeżenie wszelkich węzłów wynikło.

Przyznaję więc, że szata francuzka nietylko nie wyzuła nas z męztwa, lecz je jeszcze obudziła i podniosła, a stropiła z drogi tego burdactwa, na którą w czasach długiego pokoju pod Augustami było weszło, przyznaję, że chociaż nam nie dała Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, dała Kościuszków, Poniatowskich, Dąbrowskich, Zajęczków, Kniaziewiczów, Chłopicznych; lecz jestże to zaletą tej szaty lub zaszczytem rodzinnym krwi polskiej? Ato przyznajemy, tamci byliby nie dopuścili tych okoliczności, jakie nasz upadek sprowadził, ci im już mimo męztwa i ofiar nie wydołali, i przypomnijmy sobie, że jeżeli cudami waleczności zgon nasz uświetnili, to waleczność i męztwo wraz z kurtkami polskimi, barwami narodowemi i z czapkami

polskimi, odezwała się, jakby duchy Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich wstąpiły w ich piersi, gdy te godła na ich piersiach i barokach ujrzały, i słusznie Morawski w pięknym swoim wierszu do Wincentego Krasińskiego wyraził:

Korony upadały, a czapka nie spada.

A jeżeli za księstwa warszawskiego wojsko polskie piesze, chociaż pod barwami narodowymi, lecz w kraju francuzkim walczyło, wspomnieć potrzeba, że kształt mundurów polskich był nie nożycami Soubisa lub Ludwika XV, lecz mieczem Napoleona skrojony.

Rozgadałem się nad szatą obcą, a raczej nad płocnością naśladowania, jest to wada starości, która już porządku myślom dać nie umie. Wrócę się więc do domów w województwie lubelskiem. Przyznać muszę, że za jeden dom oryginalny i prawdziwie cudzoziemski Prażmowskiego, za drugi w innym sposobie nieco szczególnie Marchockiego w Sobieskiej Woli, uprzykrzony kielichami, którego gospodarz marnotrawił majątek, a nie ludzko obchodził się z włościanami, domy obywatelskie po większej części w miarę swojej zamożności, prowadziły życie skromne, przyzwoite i poważne i nie do jednego z nich można było zastosować niejeden rozdział Podstolego Krasieckiego. Dwa jednak domy acz z pozoru cudzoziemskie i protestanckie, odróżniały się od wszystkich oświeceniem, enotą, moralnością, obyczajnością, ogladą, zgoła przykładną przystojnością życia obywatelskiego, o których wzmianki opuścić nie mogę. Jednym był Wronów pod Beł-

życami, drugi Stryjna pod Piaskami, które zwykle luterskimi nazywano, dla tego, że w nich stał zbór protestancki. W pierwszym, to jest we Wronowie, mieszkał Ernest Gonteryn Goltz, szambelan dworu polskiego, przy Augustcie III i pierwszy sekretarz gabinetu ministra saskiego Brühla, ożeniony z wdową Orzechowską, zacną i przykłądną macochą dwóch jego córek, wybornie pod okiem ojca wychowanych i do wielkiego świata wykształconych. Goltz podówczas jak go poznałem blisko siemdemdziesięcioletni starzec, przed elekcyą Stanisława Augusta poróżniwszy się z Brühlem, ministrem wszechwładnym Augusta III, przywiązał się do domu Czartoryskich, do czego pociągnął go Fleming, zięć księcia kanclerza, a ojciec księżny generałowej Czartoryskiej, wnuczki i synowej wojewody ruskiego. Czartoryscy po wstąpieniu na tron swego siostrzeńca, życzyli sobie przydać mu Goltza, za sekretarza do interesów zagranicznych, jako człowieka prawego, oświeconego, zdolnego i obeznanego z dyplomacyą. Stanisław August żądał mieć go przy sobie i przywiązać do swojej osoby; lecz te życzenia króla nie spełniły się. Słyszałem z ust samego Goltza przyczynę. „Miałem”, mówił starzec, „być na czele gabinetu Stanisława Augusta. Na jednym z balów u księcia Repnina, ambasadora rosyjskiego, stanąłem przy kole tańczących kadryla, w którym prowadził drugą parę Repnin z księżną generałową Czartoryską, o której wejrzenie wraz z królem podówczas współubiegał się. Król omylił się w figurze, Repnin go zaczął poprawiać, lecz z takim szyderstwem, z tak nieprzystojną poufalością, że gdy nim bez za-

dnego uszanowania obracał, mruganiem i uśmiechem do kobiet chciał, aby wiedziano jak go lekko wazy. Król czy szyderstwa nie spostrzegł, czy tak był zajęty sobą i tańcem, skakał za skinieniem swego mistrza, i z teatralną gracyą, ręce do łańcucha tańczującym podawał. Ten widok w takie mnie oburzenie wprawił, iż rzekłem sobie, za żadne skarby świata temu ukoronowanemu trzpiotowi, służyć nie będę<sup>7</sup>. Od tego starca słyszałem drugą anegdotę o Brühl, ministrze i faworycie Augusta III. Brühl znany był z przesadnej elegancyi w stroju. Uganiał się za modą; szaty jedne rzadko kiedy dwa razy nosił, lecz według mody francuzkiej i angielskiej odmieniał, ztąd garderoba jego do tego stopnia wzrosła, że można ją było nazwać gabinet szat. Chętnił się tem i lubił ten zbiór w osobnej sali umieszczony okazywać gościom. Każdy kto go o to prosił przyjemność mu robił. Poseł angielski na prośbę swoją wprowadzony do tej sali, obiadując u niego, podziwiał ten zbiór historyczny i te rozmaite zmiany mody; a spojrzawszy na oszklone szafy, w których kilkadziesiąt par trzewików i butów umieszczonych było, rzekł: „Teraz się nie dziwię, dla czego cały lud polski boso chodzi, gdy ich obuwie widzę u ministra”. Głęboki i złośliwy sarkazm, którego Brühl nie zrozumiał, lub udał, że go nie rozumie. Goltz oddaliwszy się od dworu, wysłany był przez konfederacyą toruńską z przełożeniami dysydentów, w poselstwie do Petersburga, gdzie kilka lat przetrawił, poznał doskonale dwór i gabinet rosyjski i wywiózł wyobrażenie niemyłne o potędze, polityce, duchu tego państwa. Powróciwszy do Pol-

ski i osiadłszy we wsi Wronowie, osłonił się od prześladowania powagą i wpływem na duchowieństwo Soltyka, biskupa krakowskiego, z którym od młodości łączyła go przyjaźń i szacunek. Oddał się zupełnie gospodarstwu jak prawdziwy filozof bez mizantropii. Póki go starość nie nachyliła, udzielał się towarzystwu pierwszych domów, Puławom i Opolowi, w którym mieszkał Antoni Lubomirski, wprzód wojewoda lubelski, a później kasztelan krakowski, wielki przyjaciel dworu saskiego, a po jego śmierci żona jego Zofia z Krasieńskich, ciotka rodzona Franciszki Krasieńskiej, zaślubionej królewiczowi Karolowi. Królewiczowa Karolowa, z powodu nieuznane-go przez dwór saski małżeństwa, lat kilka mieszkała w Opolu, póki za wdaniem się Maryi Teresy cesarzowej dwór saski, zezwolenia swego nie udzielił i młodej królewiczowej do rodziny nie przyjął. Widziałem w Opolu portret tej sławnej piękności. Twarz jej pełna, okrągła, nadobna, lecz fryzurą upudrowaną oszpecona. Malarz wystawił ją siedzącą za krosienkami, w chwili gdy wstaje powitać męża, powracającego z polowania. Mąż jest wyobrażony w ubiorze myśliwskim; córka dziesięcioletnia, stojąca około matki, podaje mu różę; twarz księcia Karola ściągnęła, chuderlawa, znalazłem do niej nieco podobieństwa w rysach króla saskiego Fryderyka Augusta. Portret ten z opola przeniósł się do pałacu generala Wincentego Krasieńskiego.

Gdy wiek nachylił zacnego Goltza, nie wyjeżdżał z domu, trudy gospodarskie przerywał czytaniem zagranicznych gazet i o polityce rozmawiać lubił z swoim pastorem, nazwiskiem Radosz, star-

cem jego wieku, urodzonym w Polsce, lecz wychowanym za granicą, który długo podróżował po Anglii, Francji, Holandji, człowiekiem uczonym, językami tych krajów mówiącym, a jak każdy stary gadatliwym. Bywałem ja nie raz świadkiem tych politycznych sporów, z których wiele można się było nauczyć. Goltz lubił gospodarstwo, a znając zagraniczne wprowadzał do polskiego zmiany, ale ostrożnie. Miał i rozmnożył piękne stado owiec angielskich, które byli Orzechowscy z Anglii wprzód sprowadzili, i owczarnia jego była najslawniejsza w województwie, a może i w kraju; kupcy się o wełnę z niej ubiegali i już wtedy płacili po złotych 100 kamień, kiedy w innych majątkach ledwie po 40 złotych dawali. W zimie zwykł był sam wyjeżdżać do lasów, które miał obszerne i rzadkiej wybiegłości i piękności, sam, jak Washington w Ameryce do ścinania drzewa cechował, niemałą on z tego źródła intratę pobierał, prócz tego miał zapewnioną pensję dożywotnią od dworu saskiego. Dochodów użył na przebudowanie całej wsi z kilkudziesięciu chat złożonej na sposób pruski. W pierwszym Wronowie ukazały się domy włościan wysokie, z wyniosłymi dachami, widne, obszerne, z mурowanymi kominami, w miejsce niskich, dymnych i lichych chat. Lubił przestawać z włościanami, uczyć ich lepszego gospodarstwa, odwracać od używania trunków, przykładem i rozmowami do moralności skłaniać, łagodną i sprawiedliwą zwierzchnością z ciemnoty i dzikości wyprowadzać; już u niego nie karano przewinień cieleśnie, lecz jedynie aresztem. Na wiosnę, ulubionem jego było zatrudnieniem za-

sadzać ogrody, własną ręką szczepić owoce, mnożyć drzewa i szczególnie kasztany około domu; porosły też w olbrzymy i teraz otaczają i zacieniają to jego siedlisko. Stół jego był skromny, lecz do smaku przyrządzony; pokarmów używał z wstrzeźliwością, wina pił mało i to zwykle czerwone burgundzkie. Ku schyłkowi wieku mięsa nie jadał, lecz najwięcej karmił się suchemi owocami, które sam sobie na kominku przyrządzał, współstołownikom niezdrowych pokarmów zabraniał. Czcigodny przedstawiał widok stół jego obsadzony samymi starcami 70 i 80 letniemi płci obojej. Zasiadało do niego cztery małżeństw już zgrzybiałych, których wiek razem wzięty, kilka wieków wynosił, dwie tylko córki młodszemi twarzami od osiwiałych starców odbijały. Stare bowiem sługi aż do śmierci przy sobie trzymał, żadnego i żadnej nie odprawił, wszystkich do swego wspólnego stołu przypuszczał. Ten sam widok można było znaleźć między folwarczną czeladzią, której przewodniczyła stara z Gdańska wywieziona kucharka, 100 lat wieku licząca. O religii nigdy nie mówił; mając w domu pastora, nabożeństwa, nauki i czytanie biblii w niedziele zachowywał; ściśle zaś pilnował, aby słudzy jego katolicy przepisy wiary naszej, posty nawet zachowywali i do parafialnego kościoła uczęszczali. Z tego powodu odbierał cześć od duchowieństwa katolickiego. Odwiedzali go też znakomici pralacy i sąsiedni proboszcze i zakonnicy różnych klasztorów, szczególnie ubogich, bo pewni byli gościnnego przyjęcia i hojnej jałmużny. Przyjacieli stały domu saskiego, dobry i oświecony Polak, rozchmurzył posę-

pną starość odgłosem sejmu konstytucyjnego 1788 r. i równie przyjaznemi politycznemi okolicznościami, jak wyborem posłów na ten sejm rozradował się, lecz wkrótce, jako doświadczony i wytrawny dyplomata zasmucił się zerwaniem stosunków z Rosyą, drażnieniem jej, a szczególnie zawarciem aliansu z królem pruskim. Słyszałem go mówiącego: „Nie znają ducha polityki angielskiej, zapomnieli o chytrności i oszukaństwach dworu berlińskiego, nie pomną na przestrogi historyi, czem ten dwór był dla Polski, z kogo wzrósł i z kogo wzrastać sobie zamierzył. Ufają osobistemu charakterowi teraźniejszego króla pruskiego, nie pamiętając, że duch Fryderyka Wielkiego i jego polityka żyją zawsze, i że od niej ten gabinet nigdy nie odstąpi.” Kiedy przeczytał w mowie Stanisława Augusta silne i logiczne wyrazy, dowodzące z różnych powodów i z pobratymstwa i z sąsiedztwa i z geograficznego położenia konieczności trzymania się z Rosyą, a szczególnie te słowa: „Szczujmy wszystkich panujących, którzy dziś są tronów ozdobą, nie obrażajmy nikogo, łączmy się z tym ściśle, który ma jak najmniej pobudek powiększyć się naszą ziemią, a nadewszystko nie groźmy siłą, której dziś nie mamy”—rzekł Goltz:—„Król dobrze radzi, ale go nie słuchają, król przez słabość charakteru sam sobie nie dotrzyma i będą zdradzeni”, i właśnie to się stało, co wróżył i przepowiadał, ale Bóg mu oszczędził bolesnego strapienia, uprzędził śmiercią ustanowienie konstytucyi 3-go maja; a tak upadku jej i smutnych następstw nie widział.

Po śmierci jego, córki objęły majątek, obie były już w dojrzałym wieku. Starsza Elżbieta i z po-

staci i z twarzy była nader przystojna, a razem niezrównanej dobroci, łagodności i uprzejmości. Młodsza Ludwika ułonna, równie dobra, pełna rozumu, nauki, rozsądku, lecz słabowita. Starsza, za życia ojca miała licznych konkurentów, odmówiła wszystkim, jedynie przez miłość ojca i siostry, aby się z nimi nie rozłączać i oboje pielęgnować. Jeden ze znakomitszych i z majątku i z wychowania obywateli, Dłuski, starosta zwoliński tak się w niej stale zakochał, że z tą miłością osiwił, nie ożenił się i ciągle chociaż się i ona w wiek zapędziła, wzdychał do niej, powtarzał oświadczenia, bywał w Wronowie i tę zaeną i słuszną osobę śmiesznością swojej miłości obrażał. Te dwie siostry same sobie wystarczały, zaledwie się rządzić zaczęły, już dom ich, można powiedzieć bez przesady, zamienił się w prawdziwy instytut panien miłosiernych i ochronę dobroczynności; nie odmieniły w niczem patryarchalnego życia ojca swego, owszem zakres jego rozprze-strzeniły. Gdy wieści o ich dobroczynnych uczynkach rozeszły się, z dalekich okolic, jakiegokolwiek bądź religii, starzy, kalecy, zdradzeni od fortuny, dotknięci nieszczęściem, schorzali, ślepi, sieroty obojej płci ściągaly się do Wronowa na przytułek, po wsparcie, po wyleczenie. Na ich przyjęcie dom osobny przeznaczyły, jedną z sierot wychowanie wybrały na aptekarkę, która się na nią pod radą dobrych doktorów, a ich przyjaciół wykształciła. Sługi ich za wzorem pań swoich, jak one litościwe, ubiegały się w posłudze tego szpitalu, a lekarze, cyrulicy, operatorowie z Puław, z Opola, z Lublina, niosąc cześć tym dobroczynnym istotom, śpie-

szyli chętnie i jakby z powinności dobrowolnie odwiedzali ten prawdziwy instytut, tę świątynię cnot chrześcijańskich. Wieleż osób uratowanych od śmierci, od nędzy, od kalectwa, od rozpaczy i zepsucia, wznosiło za nimi do nieba modły i błogosławiło im. Sam widziałem te lzy wdzięczności, sam słyszałem głosy błogosławiące, one się tylko przed nimi uchylały. Dość było nieszczęścia doznać, nie czekały na wezwanie, same naprzeciw niedoli śpieszyły z pomocą. Ileż przyjaciół, znajomych, a nawet nieznanym nia wsparły, to zaręczeniem za dłużnych, to własnem zadłużeniem się za nich. Dom ich też był zawsze zapelnionym. Moźni i szczęśliwi uczęszczali, aby przypatrzeć się uszczęśliwionym, cześć uszczęśliwiających. Dziwiono się, jak im na tyle wydatków w takim sposobie życia jedna wieś mogła dostarczyć dochodu. Odłużyły ją wprawdzie w połowie na zapisy dla sług wysłużonych, na posagi dla małżeństw przez siebie skojarzonych, na dary dla sierot i ubogich, bo kto raz ich dobrodziejstw doznał, już stawał się ogniwem łańcucha ich patryarchalnej rodziny i już rodziny jego z opieki nie wypuściły. Dzieci ich przyjaciół powszechnie u nich świętowały, u nich wakacye szkolne odbywały, były to prawdziwe matki młodzieży. Tak cnotliwe i najprzykładniejsze życie przeciągnęły przez wszystkie szczęśliwe i nieszczęśliwe zmiany losów tego kraju, nie dając się nikomu uprzedzić w obowiązkach najlepszych obywaterek i Polek i w ofiarach dla kraju. Dobięły one do kresu życia na początku kongresowego królestwa w 1817 roku, blizkie wiekiem 70 lat przebyły; jedna bez drugiej

nie pozostała na tej ziemi i skoro młodsza słabowita na puchlinę skończyła, starsza, acz silna i czerstwa, z tęsknoty i bólu, tylko ją kilku dniami przeżyła. Bóg je razem na ziemię, jak anioły opiekuńcze zesłał, Bóg je razem powołał. Razem też i wspólnym pogrzebem pochowane przy kościele ewangelickim w Lublinie spoczywają.

Przychodzi mi na pamięć jedno wydarzenie. Jakiś obywatel znakomity z Wielkopolski, przejeżdżał do Opola i z Opola przez Wronów i popasał w austeryi wronowskiej. Dziwiły go nieznanne w naszych okolicach zabudowania włościańskie nakształt pruskich domów. Wszedł w rozmowę z włościanami, zgromadzonymi w karczmie i nasłuchał się pochwał i błogosławieństw dla dwóch panien dziedziczek tej pięknej wsi.—To są nasze opiekunki, nasze matki—mówili włościanie — oby je Bóg najdłużej na tym świecie chował. — Gdy wyjechał z austeryi, napotkał przejeżdżającą gościniec bryczkę i na niej siedzące dwie kobiety w skromnym ubiorze, prosty parobek je powoził i skręcał na drogę do Poniatowy. Jechały do Janiszewskich, swoich od serca przyjaciół, a gdy przechodzący włościanin uwiadomił tego podróżnego obywatela, że to panie Wronowa jadą, pogonił za bryczką, zawołał, aby stanęła i wyskoczył z pojazdu. Zdziwione panny Goltzówny wstrzymaniem przez nieznanomego, te od niego usłyszały słowa:—„Darujcie natręctwo nieznanomemu, jestem N. N. Jakto wy panie, wy dziedziczki tej obszernej wsi, jedziecie bryczką, wy, których nie konie, ale ramiona uszczęśliwionych przez was włościan ciągnąć powinny. A niechże was Bóg

błogosławi, pozwólcie wasze ręce ucałować, opowiem mojej żonie i sąsiadom wasze cnoty i wasz wielki rozum, opowiem, że w lubelskiem widziałem święte osoby na ziemi”.

Drugim domem protestanckim tego rodzaju, podobnego sposobu życia była Stryjna, acz jako zamieszkała od możniejszego i majątniejszego dziedzica nieco większej wystawy w zakresie obywatelskim wzór wystawiała. Mieszkał w niej Paweł Stryjeński, także szambelan dworu saskiego, uczeń i towarzysz szambelana Goltza, brat rodziny szefa gwardyi litewskiej, ojciec licznej rodziny, wśród której Maryanna najstarsza, dała się poznać literackiemu światu przez pełne tkliwości i smaku wierszem i prozą utwory. Paweł Stryjeński był mąż oświecony, wiele podróżował po Niemczech, był gospodarzem w okolicy wzorowym, lubił literaturę zagraniczną i krajową, miał nieszczupłą bibliotekę, odwiedzany był od ludzi uczonych, był dobrym i gorliwym Polakiem, skwapliwym do posług publicznych i wzywany po stokroć do politycznego życia. Wspierał patriotów i literatów duchem i majątkiem. Franciszek Dmóchowski, tłómacz Iliady Homera, po rewolucyi Kościuszki dom jego obrał na schronienie, który do ostatniego podziału Polski, nie przestał być przytulkiem rozbitków cywilnych i wojskowych. W nieszczęśliwych okolicznościach Polski dzielił z współziomkami ofiary, tułactwo i cierpienia. Charakteru był żywego, nawet w domu nieco surowego, acz zawsze ludzkiego; łagodziła tę żywość niezrównana dobroć i łagodność drugiej żony jego, Karoliny z Suchodolskich, którą zwykle świę-

tą Karoliną nazywano. Wychowanie dzieciom dał przyzwoite, nauczycieli domowych, oświeconych cudzoziemców do nich sprowadzał, mieszkał w porządnym domu, często w nim zgromadzenia przyjmował z otwartą gościnnością i hojnością bez zbytku. Miłośnikiem był ogrodów i owoców i piękne w nich pamiątki po sobie zostawił. I przez religię i przez dawną przyjaźń, i przez nawyknięcia, wyobrażenia, zamiłowanie cnót chrześcijańskich, dom jego był złączony z Wronowem; te rodziny nawzajem do siebie uczęszczały i jednym duchem tchnęły. Po śmierci jego i jego małżonki, przeszła Stryjna, dom tak miły obywatelom, w inne ręce. Nie zgasła pamięć w sercach i umysłach cnót tego domu, bo ją zacne i szlachetne potomstwo rozkrzewiło i utrzymuje.

Dla dania wyobrażenia jak w czasach młodości mojej ludzie dawniejszego wychowania pojmowali przyjaźń, wspomnę jeden jej dowód, mówiąc o Pawle Stryjeńskim. Gdyśmy przez nagłą śmierć stracili ojca, zaraz bliżsi jego przyjaciele zjechali się do Gałęzowa: Podstarosta Wiercieński, podkomorzy Grabowski, Lipski miecznik urzędowski, komornik Rzeczycki, Jan Dmóchowski, ci dwaj ostatni obowiązani memu ojcu, Tadeusz Kownacki już mój osobisty przyjaciel, Jakób Janiszewski. Paweł Stryjeński nie dał się innym uprzedzić. Jedni trudnili się pogrzebem, drudzy wzięli w opiekę gospodarstwa, a widząc mnie płaczącego, pocieszali mówiąc: „nie płacz, my cię nie odstąpiemy, jeżeliby cię interesa kłopotaly, wyjaw nam i powierz się szczerze a masz nas gotowych na zawołanie, nie damy

się pochylić waszej fortunie, nasze są ku jej pomocy”.

Gdy z żalu przenieśliśmy moje mieszkanie do Piotrowic, Paweł Stryjeński odwiedził mnie i wypytywał się troskliwie o stan naszej fortuny. Wiedząc, że mój ojciec winien mu był kilkaset czerwonych złotych, wziąłem tę jego troskliwość za niespokojność lub nieufność memu na wolności w młodym jeszcze wieku postępowaniu. Wniosłem więc sobie nie dość bacznie, że dla zrobienia sobie kredytu, najprzód należy spłacić długi przyjaciółom i w rok będąc w Stryjny na imieninach Pawła Stryjeńskiego odwozłem mu należącą sumę. Jakie było moje zdziwienie gdy czoło zachmurzył, obruszył się i prawie polajal. „Jak to?—mówił—toż mnie pierwszego spychasz z swojej fortuny, jak naprzykrzonego żyda, jeszcze to po przyjacielsku, wolałbym, abys mnie wezwał o pomoc, abym ci dodał, jeżeli potrzebujesz. Ja ufam tobie, mam otwarty worek dla przyjaciół, proszę cię, niech ja będę ostatni w wypłacie, a pierwszy do przysługi”. I nie chciał należytości swej przyjąć, i musiałem zawstydzony zachować pieniądze przy sobie i dopiero w lat kilka się uściłem po przekonaniu go, że już kredytorów nie mam. Gdyby w obecnym czasie znalazł się kto w mojem ówczesnem położeniu nie napotkałby takiej wyrozumiałości; zaraz nastąpiłaby rewizya hipoteki i od najszczerszych przyjaciół pierwszeby otrzymał dowody nieufności, a nawet i pozwy. Cywilizujemy się i nadymamy wyższością nad naszymi przodkami, a jakże dalecy od nich jesteśmy w szlachetności, w godności, w gotowości do posług i ofiar.

Trzeci dom obywatelski od dwóch wyżej wspomnianych godzien być doliczonym ze wszystkich względów, dom katolicki w Nędrzwicy wielkiej, Maryanny z Kownackich Dłuskiej podkomorzycowej lubelskiej, wdowy po Józefie Dłuskim, bardzo urodziwym, dobrze wychowanym i powszechnie kochanym, który mundur gwardyi koronnej zamienił na szatę obywatelską. Maryanna Dłuska w młodym wieku wdowa, bo ledwie po pięciu latach szczęśliwego życia, matka trojga dzieci, przystojna, wykształconej duszy i umysłu, znakomitego majątku dożywotniczka, miała licznych konkurentów, nie powtórzyła jednak ślubów, lecz cała poświęciła się obowiązkom matki, obywatelki i gospodyni. Oświecona, pobożna, ludzka, dobroczynna pani dla sług, a szczególnie dla włościan prawdziwie macierzyńskiego serca, hojna dla świątyń pańskich i klasztorów — z rzadkiej przystojności, powagi, oglady, rządliwości, umiała dom swój uczynić wzorowym; dzieci wychowała wybornie, bo w nie przelała wszystkie chrześcijańskie cnoty, przez które w nich, a szczególnie w najstarszym, Tomaszu, odżyła; pisałem moją ręką nekrologi i dwóch Goltzówien i Maryanny Dłuskiej i nieodżałowanego jej syna Tomasza. Ktoby chciał odnowić w sobie pamięć tych cnót i wzorów, niech je wyszuka w pismach publicznych i przeczyta.

Otóż to jest smutny los długiej starości przeżyć i oplakać prawie tych wszystkich, których się kochało, wielbiło i czeiło. Związany z temi trzema domami od rodziców moich i od najmłodszego wieku mego najściślejszą przyjaźnią, nietylko gość częsty, ale prawie mieszkaniec Wronowa, Stryjny i Nie-

drzwicy, jeżeli co w sobie dobrego zachowałem, im to winienem i z wdzięcznością to wyznaję. Żywe wzory skuteczniej przemawiają, niż najwymowniej-szem skreślone piórem. Kto te artykuły o tych trzech domach czytać będzie, jeżeli nie przebaczy gadatliwości starca, niech przebaczy wdzięczności.

Mówiąc o domach i osobach, które żyły w województwie lubelskiem za moich lat młodszych, wspomnę jeszcze niektóre zdarzenia w moim własnym rodzie zaszłe, na które patrzałem, których byłem świadkiem, lub o których od ludzi starszych słyszałem, opowiem zaś je tutaj szczególnie, aby wnukom moim dać wyobrażenie o obyczajach dawniejszych czasów i tego, w którym żyłem.

Wiadomo jest wszystkiemu czytającemu i rozważającemu dzieje narodowe, iż stan szlachecki zabytek dawnego rycerstwa w Polsce, wzniósł się na zasadach najobszerniejszej w łonie swoim demokracji, przecież i względem swoich członków i względem innych stanów nie był czem innym, tylko najzupełniejszą ze wszystkimi jej nadużyciami pychą, dumą, przewagą, nie z zasług, lecz z majątkowej terytoryalnej własności, przemocą, czyli arystokracją pod tem zwodniczem godłem. „Szlachecie na zagrodzie, równy wojewodzie”. Wolność i przewaga zostały przy panach, przy drobnej i ubogiej szlachcie służalstwo, czołganie się i podłość. Arystokracja ta panów możnych majątkiem, okryta powierzchownymi znamionami, nie ich, lecz ich przodków zasługą, ciągnęła się od czasu elekeyi królów nieprzerwanym łańcuchem od stopni tronu przez województwa i powiaty, aż do szlacheica, posiadającego

w wiosce więcej zagonów, aniżeli jego współbrat. Mimo więc wyż wspomnianego godła, była w istocie ustanowiona prawdziwa hierarchia arystokratyczna wśród demokracji. I tak podłość, żebractwo zaczęło się od zagonowego szlachcica, a postępowo w górę, aż do stopni tronu. Miała więc Polska arystokratów krajowych wicherzających krajem, miały województwa przewodzących po powojewództwach i powiatach, miały parafie możniejszą szlachtę, panującą nad wioskami, miały wsie arystokratów, górujących nad zagonową szlachtą; zagonowej szlachcie nie zostało, jak głowę wyżej nosić nad ekonomami, pisarzami i wszelkiego rodzaju służącymi. Było wstydem pomiędzy ubogą i nie osiadłą szlachtą zarabiać ucziwie szalą i łokciem, nie było hańbą służyć i żebrac. Każdy więc wspomnionego rodzaju w swoim zakresie możnowładca, miał monetę, którą płacił i nagradzał podłość i służalstwo w słowach: „panie bracie, jak się waść masz”? — wtedy szlachcic, dumnie patrząc na kupców i rzemieślników, nawet na uczonych, którzy się klejnotem szlachectwa nie zaszczycaли, nie ceniąc w ciemnocie ani nauk, ani ucziwego zarobku, dającego niepodległość, bez której niema wolności, nadymał się jedynie idealnem braterstwem z panami, gdy niestety! był tylko ich służalcem. Panowie wdzięcznych królów za swój wybór lub słabych następców Stefana Batoregò, jedni natręctwem, drudzy żebractwem, inni zuchwalstwem lub groźbami obdzierali z najbogatszych dzierżaw, starostw, biskupstw, urzędów znaczących i intratnych, możnowładcom wojewódzkim zostawując jak łup drobniejsze staro-

stwa, wójtostwa, sołtystwa, probostwa. Możnowładcy wojewódcy ujmowali parafialną i wioskową szlachę darami ze stada, strojami dla nich i żon, brali synów uboższych na służących do swoich dzieci i wychowując ich przez daną sposobność nauki otwierali im możliwość przyjscia do majątku, a razem przyspasabiali ich weześnie na przyjaciół i sług. W panach przy tronie pycha i duma tak przytłumiła pod obydwoma Augustami wszelkie uczucia szlachetne, tak wygluzowała z ich pamięci to wszystko czem ich przodkowie zarobili sobie na znaczenie i sławę, którą im do upiastowania przekazali, że naukę i urodzenie sądzili niegodnem swego urodzenia. Jeden też z nich odezwał się do jezuitę namawiającego, aby syna oddał do szkół: „mój syn obejdzie się bez nauki, gdy będzie potrzebował rozumu, dość będzie bogaty, aby go sobie potrafił kupić“. Ztąd też były czasy, w których panowie ledwie podpisać się, a panie wielkie ledwie czytać umiały. Bogactwo było wszystkim. Oświecone i utalentowane ubóstwo nauką nawet nie mogło się uchronić od poniżenia, dopóki Stanisław August i Konarski nie obudzili w szlachcie polskiej szlachetnego ich przodków do nauki popędu, Konarski przez pisma, przestrogi i otwarcie konwiktów, Stanisław August przez wyszukiwanie między szlachtą talentów, zdolności, przez obdarzanie starostwami, wynoszenie na znakomite urzędy ludzi oświeconych i zdatnych. Sam raz jednego, już wśród wzrastającego światła, byłem świadkiem głosu zastarzałego szlacheckiej dumy przeciw ubogiej nauce i zdolnościom. Głos ten dał się słyszeć wśród żywej roz-

prawy między jednym z weteranów możnej wojewódzkiej rodziny, stolnikiem Wybranowskim a podkomorzym Dłuskim. Wspominając to zajście, będzie tu miejsce o tymże podkomorzym Dłuskim, jako o jednym z najznakomitszych rozmów szlachty, kilka słów nadmienić. Tomasz Dłuski urodził się w bardzo ubogim stanie, w drobnej wsi, Długie nazwanej, nie daleko Lublina położonej. Przez niemających rodziców oddany do szkół jezuickich w Lublinie, ubóstwem widział się zmuszonym do najniższych posług. Zaczął od kalafaktora, a pilnością i nauką wyszedł na dyrektora. Wybranowski, chorąży lubelski, użył go do prowadzenia synów. Wszedł potem do palestry trybunalskiej, dobrze uczony w prawach i wybornie mówiący i piszący językiem łacińskim. Wkrótce też tak się wslawił, że książe August Czartoryski, wojewoda ruski, użył go do swoich obszernych interesów. Ztąd przyszedł wiośki dożywociem, ztąd majątek, ztąd urzędy wojewódzkie łowczego i t. d. Dłuski kompromisami i rozmaitemi najzawilszych spraw przyjacielskimi układami tak się wslawił, że nie tylko w województwie swoim, lecz w kraju w rzeczach prawnych stał się wyrocznią. Gdy panowie spiknęli się z sobą na rozdarcie i rozerwanie między siebie ordynacyi książąt Ostrogskich, do której osiągnięcia według instytucyi pierwszego ordynata zakon kawalerów maltańskich ze swojemi prawami przychodził, Czartoryscy do komisji, mającej te prawa rozpoznać i rozpoznanie ich przed sejm przynieść, użyli Dłuskiego. Dłuski przeważał w komisji za oddaniem kawalerów maltańskich, za podziałem dóbr

przez żyjącego ordynata Sanguszkę między familią, kładąc obowiązek na zubożonych też ordynacyą utrzymywania regimentu piechoty dla Rzeczypospolitej pod imieniem Ostrogskich i płacenia corocznie pewnej sumy na utworzenie komandoryi polskiej maltańskiej. Ale żeby na to otrzymać zezwolenie i sankcyę od sejmu, potrzeba było znacznemi odłomkami tej sukcesyi ująć panów nie skrewnionych z Ostrogskimi i nawet wielu z możniejszej szlachty. Wszystkiemu temu wydołał ogrom dóbr ordynacyi. Pano wie dostali klucze i miasta. Szlachcie posługującej zatkano usta wioskami. Wszystko to ułożył, wszystkiego dokonał Dłuski. Otóż wzrost dalszej fortuny, od Czartoryskich, Sanguszków, Lubomirskich i t. d. Pamiętam, że ci co nie dostali, lub co widzieli w tem krzywdę Rzeczypospolitej, potępiali go, nazywając tę komisję Łysą radą kolbuszowską, dla tego, że ta komisya zasiadała w Kolbuszowie i że Dłuski był łysy. Gdy Stanisław August wstąpił na tron, wiadomo jaki na niego wywierali wpływ oba stryjowie. Gdy więc szukał na sekretarza do dyplomacyi człowieka, któryby miał przyzwoitą naukę i pisał doskonale językiem łacińskim, który podówczas był językiem dyplomatycznym, Czartoryscy zalecili królowi Dłuskiego, który ten urząd ze znakomitą zdolnością wypełniał, póki nie weszła na miejsce łaciny francuzczyzna. Król za jego zasługi wyniósł go na podkomorstwo lubelskie i obdarzył. Dłuski przy tak nagromadzonych sposobach był w stanie dać synom swoim najlepsze w konwicie Pijarów wychowanie, nabyć dla nich dwa starostwa łukowskie i zwolińskie; kupić pałac w Warszawie

nabyciem kilku obszernych wsi w swoim województwie znacznie majątek rozprzestrzenić. Spodziewał się on senataryi i byłby zasiadł w krześle, gdyby poróżnienie się Czartoryskich z królem, nie poróżniło także Dłuskiego z dworem; urząd więc podkomorski do śmierci sprawował z powagą i z przezwagą; już w bardzo sędziwym wieku posłował z drugiego wyboru na sejmie r. 1788, trzymał się strony patryotycznej to jest anti-królewskiej i taką miał powagę między posłami, że go dziekanem sejmku nazywano. Po ustanowieniu konstytucyi 3-go Maja, bądź przez obrazę że do jej układania użytym nie był; bądź z przesądnej miłości rządu republikańskiego zmienionego na monarchiczny, odstrychnął się od strony patryotycznej i nim wszedł do konfederacyi targowickiej, na sejmikach lubelskich relacyjnych, na których ze strony króla i patryotów zabiegano aby głos województwa dziękczynieniem królowi potwierdził akt konstytucyi 3-go Maja, stawał sam jeden i walczył ze swemi kolegami, chąc odwieść od tego kroku województwa. Kolega jego w sejmie, Wybranowski, stolnik lubelski, trzymał z patryotycznymi posłami, w towarzystwie wszczęła się między nimi rozprawa o opinię. Wybranowski, już osiwiwały, młodszy był wiekiem i urzędem od Dłuskiego, gdy ten z pewnym rodzajem wyższości popierał swoje zdanie, rzekł z żywością do Dłuskiego chcąc go upokorzyć: „panie podkomorzy zapomniałeś, że byłeś u mnie dyrektorem”, na to starszy starzec odpowiedział „Jak widzę, waszmość i teraz potrzebujesz dyrektora”. Wybranowski połknął przyrównówkę, nie posuwał dalej wyrzutów, bo było w oby-

czajach ówczesnych uszanowanie dla starszych wiekiem i urzędem.

Dłuski był z tych liczby, którzy się swego urodzenia i przeszłego ubóstwa nie wstydzili, godność z siebie z samych nie ze zmiennych darów fortuny ciągnąc; szedł za wzorem prymana Ostrowskiego, który z najdrobniejszego szlachcica wznosił się na stolicę arcybiskupa i prymana, głośno wyznawał, że w dzieciennym wieku pasał cielęta u księży Maryanów w Skurezu, również w tem naśladował Szaniawskiego biskupa krakowskiego i księcia Siewierskiego, który zawsze i na publicznych ucztach stawiał przed sobą okopciały garnek i piął z niego, bo z nim będąc pauprem, do bursy ojców Jezuitów po pokarm chodził.

W województwie lubelskim wszyscy prawie możnowładcy polscy starali się mieć dobra, a w mieście Lublinie pałace i dwory dla spraw i przewagi w trybunale koronnym, który tam półroczną kadencyę wysiadywał. Mieli i możnowładcy wojewódcy swoje dworki. Od najdawniejszych czasów tylko Firlejowie, Tarłowie, Lubomirscy, Zamoyscy byli wojewodami, kasztelanami, starostami lubelskimi. Dla szlachcica najwyższym stopniem było podkomorstwo. Podkomorzy nosił tytuł *princeps nobilitatis*. Za mojej pamięci był wojewodą lubelskim ksiązę Antoni Lubomirski po Tarłach pan na Opolu, kasztelanem Tarło, starostą po Poniatowskim kasztelanie krakowskim zięć jego Jan Zamoyski wojewoda podolski, który to starostwo otrzymał w posagu zięciowi swemu Wincentemu Potockiemu podkomorzemu koronnemu panu na Bródach. Ten roz-

wiodłszy się z żoną oddał je; ona zaś wraz z osobą swoją przyniosła je w wianie Michałowi Mniszchowi, marszałkowi Wkoronnemu, którego wjazd wyżej opisałem i ten był ostatnim starostą lubelskim. Starostą urzędowskim był Kajetan Potocki, syn Eustachego Potockiego generała artylerji pana na Radzynie i Kurowie. Wprawdzie Stanisław August przeciął ten nepotyzm pański, mianując wojewodą lubelskim przed Lubomirskim Twardowskiego, a po postąpieniu Lubomirskiego na kasztelanię krakowską, wezwawszy Kajetana Hryniewieckiego, obydwóch ze szlachty; równie jak na kasztelanię wynosząc Szeptyckiego, przecież po jego śmierci przeszła kasztelania do Piotra Potockiego starosty babimostskiego i on był ostatnim kasztelanem lubelskim, jak Hryniewiecki ostatnim wojewodą.

Za mojej pamięci możniejsze rodziny wojewódzkie były następujące: 1) Stoińskich herbu Janina. 2) Wybranowskich herbu Poraj. 3) Suchodolskich herbu Janina. 4) Kiełczewskich Skarbków herbu Abdank. 5) Trzińskich herbu Jastrzębiec. Gałęzowskich, Głuskich, Węgłęńskich, Bielskich, którzy acz znaczny posiadali majątek w lubelskiem, nie mieszkali w nim, lecz znaczenie swoje w województwie ruskiem rozpościerali. Inne familie licznie z innych województw przybyłe, długo musiały ulegać scartabellatowi i do urzędów wojewódzkich trudno im było docisnąć się. Rodzina Stoińskich była niezgodna i kłótliva, i zostawiła po sobie gorszący przykład zawziętej nienawiści między rodzonymi braćmi. Rodzina Wybranowskich była spokojna, poważna, lecz dumna. Suchodolskich liczna, zgo-

dna między sobą, lecz mniej spokojna i do awantur pochopna. Kielczewskich Skarbków na dwie linie rozrodzona, w jednej spokojna, kochająca się, nie mieszająca się do sejmików, w młodości rycerstwu, w późniejszym wieku domowemu życiu i namiętne-  
mu upodobaniu w polowaniu oddana; w drugiej li-  
nii nienawiścią tak jak Stoińscy i procesami między  
rodzonymi braćmi wstawiona. Familia Trzecińskich  
najmniej majątkowo można, lecz najliczniejsza, a sza-  
blą, kielichami i nawet pięścią groźna i przeważna,  
postaciami herkulesowemi straszna, za mojej pamię-  
ci, najwięcej i najczynniej burmistrzowała w woje-  
jewództwie. Kto też miał za sobą Trzecińskich, mógł  
być przewagi nad innymi. Z tej przyczyny, gdy  
Stanisław August chciał przeszkodzić intrygom  
i przewadze księcia Nestora Sapielhy i stawił prze-  
ciw niemu Michała Granowskiego, ten zaraz do sie-  
bie wyrabianemi urzędami pociągnął rodzinę Trzeciń-  
skich. Nie znam szczegółowych dziejów domowego  
życia tych rodzin, a potwarzy lub obmowy pisać  
nie chcę. Były zapewne pomiędzy nimi z czysto-  
ści obyczajów znane, lecz ileż było i powszechniej  
takich, co mimo pozornej surowości, pobożności aż  
do fanatyzmu posuniętej, groźnej nad dziećmi stra-  
ży, w łonie swoim żywiły najbezpieczniejszą rozpu-  
stę i rozpasanie żądz. Nielatwo było znaleźć mię-  
dzy nimi Hipolita, nie trudno Fredrę. Przez mam-  
ki, niańki, pokojówki, krew szlachecka dostawała  
się między włościan. Dorodni służalcy i dworska  
czeladź przelewała krew swoją w rody szlacheckie.  
Tu powiem tylko o obyczajach jednej familii Kiel-  
czewskich, rodu mojego z matki, jako urodzony syn

z Kiełczewskiej chorażanki lubelskiej; powiem jako naoczny w dzieciństwie i w młodości mojej świadek, dla przestrogi i nauki moich wnuków.

Ród Kiełczewskich wywodzi pochodzenie z czasów jeszcze piastowskich, od jednego z potomków owego Skarbka Abdank, który przyrzucił pierścień swój jako złoto do złota chcącemu go przekupić cesarzowi niemieckiemu. Ten potomek Skarbka osiadł w lubelskiem, we wsi Kiełczewicach, obszernej i żyznej, położonej nad rzeką Bystrzycą, o milę od jej źródła płynącą pięknymi błoniami ku Lublinowi wśród wyniosłych wzgórzów. Późny potomek owego Skarbka już się nazywający od wsi swojej dziedzicznej Kiełczewskim, poróżniwszy się z plebanem wilkołazkim o dziesięcinę wytyczną, niepohamowany w gniewie i zemście idąc w parafialnym kościele za procesją, plebana celebrującego i niosącego w ręku monstrancją uderzył w głowę czekanem i skrwawił, przez co popadł w klątwę kościelną. Usunąwszy się przed zemstą prawa udał się do Rzymu po rozgrzeszenie, ofiarując na zmazanie zbrodni wystawić kościół pod imieniem Najświętszej Panny, ufundować oddzielne probostwo, jako filią parafii wilkołazkiej i przyzwoitemi dochodami opatrzyć; jakoż pozyskał rozgrzeszenie, dopełnił pokuty i zobowiązań, wzniósł kościółek, oddzielił znaczną część gruntów z niwą i 15 osadnikami do probostwa, przypuścił proboszcza do propinacyi, pastwisk, wrębu i t. d. Odtąd wrosło przekonanie w lud, i to przekonanie wraz z całym zdarzeniem aż do moich czasów tradycją z ust do ust podało, że Ojciec Święty uwolnił winowajcę, Bóg przeklął

ród Skarbków Kielczewskich, i że mu się wieść nie będzie, i że w województwie lubelskiem na żebrzących potomkach skończy się i wygaśnie. Niestety! wszystko to spełniło się w moich oczach. Portret tego winowajcy fundatora w srebrne ramy oprawny, zawieszony u sklepień kościoła Kielczewickiego dotąd istnieje; a za mojej młodości starzy wieśniacy, wskazując go palcem mawiali, że to ten, co księdza czekaniem uderzył i powtarzali, nie wiem czy teraz powtarzają tradycję od ojców sobie podaną. Rodzina ta rosła i upadła w następującym sposobie.

Jeden z potomków owego winowajcy w 17 wieku Remigian Kielczewski, podśódek ziemski lubelski, sąsiedował i żył w ścisłej przyjaźni ze Zbigniewem Gorajskim kasztelanem chełmskim dziedzicem obszernych dóbr jako to: Goraja, Bilgoraja, Strzyżowie, Bystrzycy, Osmolic, Prawiednik; od Kielczewic aż do Zembrzyc starostwa lubelskiego, prócz tego posiadał on Niędrzwicę i wiele innych wiosek. Wiadomo, iż był głową Aryanów po województwie rozsianych. Gdy za Jana Kazimierza konstytucya nie pomnę z którego roku rozkazała Aryanom wyrzec się swych błędów pod konfiskatą dóbr lub wygnaniem z kraju, Zbigniew Gorajski przedsięwziął wyprzedzić się i z Polski wynieść za granicę. Niędrzwicę nabyli Bielscy, Biłgoraj i Goraj nie wiem, czy wprzód czy później ordynacya Zamoyska; na dobra nad Bystrzycą szukał kupca, pieniądze podówczas były rzadkie, chciał więc znaleźć człowieka poczciwego, któregoby mógł słowu i kredytowi zawierzyć; uczynił przeto Kielczewskiemu jako przyjacielowi propozycję, aby

od niego ryczałtem te dobra nabył; a gdy ten mu oświadczył, że nie jest w stanie, Gorajski mu odpowiedział: „Ja ci ufam, że mi dotrzymasz słowa, podzielę ci dług na części i lata, nie opuszczaj sposobności wzmożenia się, masz kilku synów, te dobra więcej warte, ja ci je prawie za połowę ceny sprzedam, gospodaruj, pszenicę splawiaj do Gdańska, co weźmiesz za nią niech to będzie mojem, póki się nie skwitujemy”. Jakoż ustąpił mu pięć dobrych wsi za 100,000 złotych polskich, które ewalując według Czackiego na ówczesną stopę wartości pieniędzy, na 8 złotych za złoty, otrzymał 800,000 złotych; dziś te dobra z biegiem czasu, z ulepszeniem gospodarstwa, z powiększeniem się kursującego metalu, prawie trzy razy tyle warte.

Ten Remigian Kieleczewski powiększył jeszcze swoje majątki nabyciem wsi ogromnej Podkowiec pod Urzędowem. Po śmierci jego majątek jego przypadł na dział pięciu synów i córki, wydanej za Stoińskiego, lecz przyjaciele, dzielący niezgodnych i zazdrosnych braci, nie mogli z nimi trafić do ładu i końca. Żaden nie chciał przyjąć spłaty, każdy żądał równego działu ziemi; musieli więc krajać wioski, jedne obcinać, ubożyć dla dodatku drugim; bez względu więc na położenie na rodzaj lepszości lub podłości ziemi, na obfitość lub niedostatek lasów, więcej zwyczajem i mniemaniem owego wieku bacząc na intraty w gotowiznie jak na dochód gruntu, który wówczas lichą miał wartość, szukając równości, właśnie ten dział zrobili najnierówniejszym, pokaleczyli odrywkami Strzyżowice dla Bystrzycy i Piotrowie, Piotrowice dla Osmolic, Osmolice dla

Prawiednik, czem otworzyli źródło wiecznych kłótni, nienawiści, najazdów, póki dekreta sądowe końca im nie położyły, ztąd to pozostała pamiątka tego nierozsądnego działu, że, nie mogąc nim zmienić parafii kościelnych, nie jedna z tych wsi od kilku kościołów dziesięciny opłaca. Ale najtrudniej było tych braci ugodzić który ma z nich posiadać zamek czyli fortecę, która jedna tylko w tych dobrach była wzniesiona jeszcze w 14 wieku przez niejakich Zarczyńskich w literę Z przeciwko Tatarom z basztami, wieżami, podziemnymi kazamatami, strzelnicami, którą rozprzestrzenili, czyli odnowili Gorajscy za panowania Zygmunta III, jak wydają umieszczone na sklepieniach orły polskie z koroną i ze snopem kłosów wazowskich na piersiach. Ten więc zamek musiano podzielić na pół między dwóch najniezgodniejszych braci najstarszych Stanisława i Piotra. Obydwom kłótnikom wspólny dach, wspólne wejście, wspólne schody zostawiono, równie jak do wspólnego używania przeznaczono ogrody, place, budynki, błonia, belki i rzeki. Kufry papierów zostawione następcom, do których te dobra przeszły, świadczą o gorszących scenach najazdów, gwałtów, zaborów, których się ci bracia dopuszczali do tego stopnia, że o mało nie przyszło do bratobójstwa. Na środku dziedzińca tego zamku rosła ogromna lipa, pod którą umieszczona była ławka do siedzenia, brat jeden zabraniał drugiemu bratu siadać pod nią i używać cienia, gdy który samotnie siadł pod nią, drugi z okna zamku drobnym śrutem strzelał do niego; ztąd niesłychane i oburzające i śmieszne processa, dekreta ziemskie, grodzkie, pod karami na-

kazujące im zgodę braterską i zabraniające używać chłodu i cienia wspólnej lipy jednego bez drugiego. Nakoniec starszy brat wygryzł młodszego, ten trzeciemu i możniejszemu odstąpił swojej schedy, a tego znowu sukcesorowie sprzedali wieś Strzyżowice Trzecińskiemu podczaszem sławnego pieniaczowi, aby dokuczał sukcesorom Stanisława. Tak to nienawiść odradzała się w tej linii. Ciąg posiadania Strzyżowice przez Trzecińskich powiększył jednym kufrem więcej papiery pieniacze. Jakby za zasłużoną karę, że słuszną bardzo i dobrze wychowaną wdowę po Kielczewskim z domu Zarankównę starościankę żmudzką, tenże Trzeciński pienią prześladował i z zamku wygnał, syn jego Ignacy za moich czasów, zadłużywszy się i zmarnotrawiwszy majątek z rozpaczy pistoletem życie sobie odebrał w tym samym przysionku, z którego tyle kłótnych procesów wyszło. Strona zamku przez Kielczewskich posiadanego przypadkiem zgorzała, zadłużona wdowa i jej synowie ani jej zreperować ani się przy Bystrzycy utrzymać nie mogli. Bystrzyca z Piotrowicami poszła na eksdywizyą wierzyciela. Jeden z Kielczewskich z Zarankówny urodzony zaczął wykupywać kredytorów, a nie mogąc tego w zupełności dokazać, sprzedał majątek ten w roku 1780 ojcu mojemu, a za wzięte pieniądze kupiwszy część w Potoku tamże osiadł. Syn jego Jan, młodzieniec bystrego umysłu i dobrze w szkołach wykształcony, znalazł protektora przez związek krwi z Chodkiewiczami u księcia Aleksandra Lubomirskiego, który podczas powstania Kościuszki, wziął go z sobą do Petersburga, tam za panowania Pawła

I młodzieniec nieostrożnie odezwawszy się w towarzystwie z gorącym patryotyzmem w nocy z domu księcia porwany i w zamkniętej kibitce więziony, z przestachu Syberyi, dostał obłąkania zmysłów. Dnien i nocą pędzono z nim do Opolą, gdy wysiadł przed pałacem, odetchnął z trwogi, lecz już w zupełności zdrowych zmysłów nie odzyskał; pędził więc życie włóczęskie między rodziną, wystawując się ciągle na pośmiewisko, nakoniec dobrawszy sobie socyusza, pielgrzymował od domu do domu krewnych i znajomych. Odwiedzał mnie czasem, lecz nie mogłem go namówić na stałe mieszkanie, które mu ofiarowałem; tułał się więc, wystawiał na szyderstwo i gdzieś nakoniec w nędzy umarł. Familja stryjów jego, posiadająca wioski w Mazowieckiem, tam się przeniosła, jeden z jej synów nieźle uczony w szkołach, przeszedłszy przez biuro administracyjne i przez służbę wojskową raniony i kaleka puścił się na podobną jak brat jego stryjeczny tułaczkę, i gdzieś także w karczmie u żyda umarł; a tak spełniło się przepowiedzenie na tej linii Remigiana Kielczewskiego za owo uderzenie kapłana czekaniem w głowę. Nie dość na tem, Strzyżowice owe gniazdo niezgody braterskiej jakby przeznaczone być wiecznie wstydną otchłanią pieniactwa, przechodząc z rąk do rąk obcych, w każdym dziedzicu nabywały coraz większego klótnika i pieniacza.

Ojciec mój, nabywszy Bystrzycę z połową zgorzałego zamku, wprawdzie to unikaniem, to powagą i przewagą znaczenia, zatamował nieco gorszące sceny, lecz często przykrości z pomieszanego współ-

nictwa w sąsiedztwie nie uniknął. Kołysał się nadzieją, że kiedyś nabędzie Strzyżowice i zamek ten zamieszka, lecz mimo rozmaitych projektów zamiany i kupna, wykonania ich nie mógł od kłótliwych sąsiadów uzyskać. Gdy objąłem działem po śmierci ojca Bystrzycę, burza dach z części mojej zamku zrzuciła i zgruchotała. W niebytności mojej nierozsądny ekonom, potrzebując cegieł, wydobył je z pod fundamentów pięknej i wyniosłej wieży kwadratowej, która te ruiny, mogące być dźwignionemi zdobyła. Wieża runęła i dotąd ogromny kopiec gruzów i porysowane od wstrząśnienia ściany zamku świadczą o jej upadku. Przez cały czas mego dziedziczenia nie szczędziłem starań, aby wyjść z uciążliwego współnictwa, a ileż razy podczas jego trwania, wspomniałem sobie Sariusza, który rzekł do litującego się nad jego ranami Władysława Łokietka pod Połowcami „to mniej boli, niż zły sąsiad” ileż razy przypomniałem sobie ów wiersz Krasickiego:

Szczęśliwy kto z równemi o granicę siedzi,  
Zły mór, ogień, powietrze, gorsi źli sąsiedzi.

Po samobójstwie Trzcinińskiego, z pozostałą wdową, dobrą i spokojną kobietą ożenił się najslawniejszy w województwie lubelskiem pieniacz, który mi natchnął obraz złego sąsiada, nakreślony w ziemiaństwie. Jedna z jego córek zaślubiona byłemu kapitanowi wojsk polskich Klamborowskiemu wzięła w posagu Strzyżowice. Mąż jej acz troskliwy i pilny stróż swojej własności, uczuł całą niedogodność tego współnictwa, i pierwszy podał projekt zamiany i podziału gruntów i placów. Wśród

samej do skutku przychodzącej umowy, śmierć niespodziewanie go zaskoczyła. Wdowa po nim, poszedłszy za męża za jego synowca, słusznego i umiejącego cenić spokojność i przyjemność sąsiedztwa człowieka, za jego wpływem przychyliła się do zawarcia ze mną i z synem moim wiecznej zamiennej umowy, a tak wsie Bystrzyca i Strzyżowice, każda w swoim nieprzerwanym obrębie oddzielonemi od siebie zostały, źródło wiekowych kłótni znikło, a przyjazna spokojność i przyjemność sąsiedzka ustaliły się.

O ile, jak wyżej opisałem, starsza linia domu Kielezewskich, idąca od Stanisława, wślawiła się nienawisnemi rozterkami między bracią, o tyle potomkowie Aleksandra wydali z siebie wzór zgody, szlachetności i miłości braterskiej. Aleksander Kielezewski z działu r. 1664, dziedzic na Kielezewicach, znacznie powiększył majątek przez ożenienie i nabycie Prawiednik, Żabiejwoli od brata Teodora. Miał syna jedynaka Tomasza, który pojął za żonę Olszewską, prymasa Olszewskiego rodzoną synowicę, powiększył fortunę nabyciem Gałęzowa, tak że po jego śmierci każdemu z pięciu synów, których po sobie zostawił, przypadła dobra wieś na schedę. Trzech ich służyło wojskowo, dwóch zostało domatorami; Michał dla pomieszanego w pewnych przerwach umysłu, Jerzy, który był ojcem mojej matki, dla słabego i paraliżem naruszonego zdrowia; Aleksander, najstarszy, który w dziele otrzymał Gałęzów, służył pod znakami króla Leszczyńskiego, długo przy nim bawił w Lunewilu, tam się wykształcił, nabył języków zagranicznych, zasmakował w nau-

kach, zmienił suknię polską na francuską i wróciwszy do Polski został podczaszym urzędowskim, spokojne celebatorskie życie wśród ksiąg łacińskich i francuskich pędził, nie mieszając się do spraw politycznych. Ztąd szlachta kontuszowa, że nie szabłą ale szpadę, nie czuprynę i głowę goloną, lecz perukę nosił, szydziła z niego i naśmiewała się między sobą. Bracia go szanowali jak ojca, na narady familijne zjeżdżali się do niego, i ze czcią ręce jego całowali. Ci bracia sprzecznie z powyższą linią Kielczewskich, tak się z sobą kochali, że wszystko między nimi było wspólne i mimo działu pozostali prawie niedzielni. Gdy się który oddalał na czas dłuższy do innej prowincyi, schedę swoją powierzał bratu, a rachunku od niego z dochodów nie poszukiwał. Wszyscy lubili namiętnie myśliwstwo i wszyscy je utrzymywali, szczególnie Floryan, o którego życiu niżej powiem. Józef, starosta kahorlicki, ożenił się na Wołyniu z Giżycką i objął tam po niej majątek, wieś Piorkowice, zostawiwszy w zarząd Aleksandrowi schedę swoją Wołę Gałęzowską. Floryan mieszkał w Prawiednikach, Michał w górnych Kielczewicach, Jerzy ojciec mojej matki w dolnych. W młodości mojej widziałem tych już pobielałych starców, jak byli z wzajemnem dla siebie uszanowaniem; siwy starzec białego w ręce całował, przypominam ich mundury, dawnej komputowanej kawaleryi polskiej. Józef i Floryan nosili żupany sukienne karmazynowe, kontusze granatowe z galonami srebrnymi i haftami. Na kontuszu zamiast pasa, taśma srebrem haftowana, z klamrą srebrną i orłem złotym, pendent, przy nim szabla

z pochwą blachmalową, nabijaną srebrem, przez barki ładownica ze srebrnymi blachami, czapka pikowana karmazynowa z kitą. Michał, który na górnych Kiełczewicach siedział, miał młodą i piękną żonę, nie mogła się ona przywiązać do pól waryata i nie lubiła go; on jeden tym braciom spokojnym wyprawił dwie sceny, które z ust mego ojca opowiedane słyszałem. Będąc on bezdzietnym zawsze myślał, że bracia czyhają na sukcesyją po nim; zaprosił raz braci na polowanie na niedźwiedzia, o którego legowisku w lesie donieśli mu gajowi; zjechali więc wszyscy ze swoimi psianiami a szczególnie Floryan, który niezmiernie liczną trzymał. Gdy na objechanego niedźwiedzia puszczone psy, że niedwiedź był nie w rodzaju wielkich, lecz z tych, których bartnikami nazywają, zgraja psów porwała go zaraz i przydusiła. Strzelcy i dojeżdżacze nadbiegli i, smyczami związawszy, otrąbili się na panów; gdy ci nadjechali, wszczęło się pytanie, czy go zabić i kto ma strzelać, czyli też do domu związanego zawieść, i tam na nim ułode psy wprawiać. Michał jak pól waryat siadł na niego, bracia odezwali się: „jaki z waści śmiałek, żeś przysiadł związanego niedźwiedzia, ale każ go rozwiązać i pojedź na nim, to dopiero z waści będzie gracz”. „Albo rozumiecie, odpowiedział: „że tego nie dokażę, ja nie taki tchórz jak waście”, i siedząc na niedźwiedziu, a rękami obiema chwyciwszy się uszów, kazał go rozwiązać”. Ten, uczuwszy się wolnym zerwał się nagle, i ze swoim ciężarem na grzbiecie uciekać zaczął, strzelać do niego nie można było; próżno bracia wołali na Michała „zeskocz waść z niego“,

ten z obawy, aby go niedźwiedź nie pożarł, trzymał się silnie rękami uszów, i kolanami grzbietu. Niedźwiedź uciekał przez największe gąszcze, wśród kolców i gałęzi; psy, szarpiąc go, szarpały razem jeźdźca, dognano ich nareszcie i tego niebezpiecznego zwierza kordelasem zabito, dopiero spadł z niego Michał, ale na pół nagi, krwią obłany, podarty i pokaleczony; płatka sukni na nim nie zostało. Gdy zawieziony do domu wyleczył się, wyrzucał braciom ich wyzwanie i chciał ich pozywać o zamiar przyspieszenia mu zgonu, dla zagarnienia jako po bezdzietnym spadku.

Za młodości mojej w wielu miejscach, gdzie teraz wsie i pola, stały zamierchłe lasy; niedźwiedzie, a nawet rysie od Karpat przez ogromne puszcze ordynacyi zamojskiej, rozechodziły się po lasach wioskowych właścicieli, i nawet się w nich lęły. W wielu miejscach można było widzieć przykutego do słupa żywego i żywionego niedźwiedzia, z którym się chłopięta drażniły; a ledwie nie w każdym domu leżała przed łóżkiem ogromna, czarna skóra niedźwiedzia, zabitego przez właściciela, lub jego myśliwych. Nie mniej można się było nasłuchać opowiadania rozmaitych wypadków i zdarzeń przy zapasach z tym zwierzem. W dzieciństwie mojem słyszałem powieść o świeżem wydarzeniu we wsi Zaraszowie, do Gałęzowa należącej, w której lesie nad gościńcem idącym z Bychawy do Turobina, niedźwiedzica z dwoma piastunami, leżąca pod wykrotem, obudzona blizkim strzałem do dzięcioła przez gajowego, wyskoczywszy, zamordowała go. Zaledwie na jęk jego jadący z furami włościanie zdo-

łali go z pazurów jej wydrzeć, czaszkę mu zdarła, pogryzła i w kilka godzin umarł. Zabił ją potem Floryan Kielczewski. Na mnie samego, gdy małym będąc chłopakiem, z krótką fuzyjką ze strzelcem wybiegłem na polowanie w las w bliskości folwarku Woli Gałęzowskiej, niedźwiedź wypadł i tak nastraszył, rzucając na goniącego psa bryłami ziemi, że jednym tchem blady i drżący, zabiegłem do domu. W 1784 r., powracając z braćmi moimi i z dyrektorem z Kielczewie z nabożeństwa, zmierzchaniem spostrzegliśmy ogromnego niedźwiedzia na niwie gałęzowskiej, jak pod lasem czolgając się na tylnych łapach, przednimi osmykiwał i garnał do pyska grona breczki. Ten niedźwiedź przez sprowadzone myślistwo starosty Sieradzkiego z Bełżyc nie bez straty psów, których część wymordował, zabitym został. Razu jednego w lesie gałęzowskim na polowaniu napadły psy na niedźwiedzicę z dwoma piastunami. Matka uszła, jednego piastuna psy wypędziły na drzewo, ściągnięto go sforą i wychowano. Widziałem go 1789 r. w Żółkiewce, w domu starosty krasnostawskiego, przykutego łańcuchami na dziedzińcu. Mówiono mi i pokazywano miejsce pod Wolą Bychawską w małych krzakach, w których się było pasalo na ścieżkach, racicami wydeptanych, na których strzelec po Augustcie III w Polsce pozostały i w domu Stoińskiego w Bychawie przemieszkujący, a na polowaniu zawsze noszący sztuciec sztofem nabity i dwururną fuzyą, wyszedłszy na zającą, spotkał się z niedźwiedzicą z dwoma piastunami i kolejnymi strzałami, wszystkie troje trupem potoczył. W Bobach pod Urzędowem,

w wiosce rodziny Węgleńskich, podczas obiadu, już dobrze uraczonym kielichami gościom, dał znać gajowy o śpiącym niedźwiedziu w blizkim gaju pod wykrotem. Podchmieleni dobrze goście porwali się do strzelb, ale, że dla wszystkich kul nie było połamywawszy grajcarey od stęplów, na ochotę, jak to bywa po pijanemu, pobiegli i kilkunastu, razem wymierzonymi strzałami, ubili śpiącego zwierza. Rysia jednego polując na sarny, zabili strzelcy Floryana Kielczewskiego i tego oglądałem; drugiego pod samym Lublinem w gaju Dziesiąty, ksiądz Leneczewski, kanonik lubelski, synowiec biskupa, wielki myśliwy, polując na zającą, uchodzącego przed hałasem rysia zabił; kiedy na małej przestrzeni wojewódzkiej taka była obfitość drapieżnego zwierza, łatwo wznieść ile mieściły w sobie ogromne lasy lubartowskie, kockie, krasienińskie, kozłowieckie. Przerzedził się ten zwierz od czasu, jak między Janowem ordynackim, a Kraśnikiem i Bychawą stały nowe ludne osady, i gdy ciąg lasów lubelskich przerwany został.

Wracam teraz do historyi Michała Kielczewskiego. Wspomniałem wyżej, że miał żonę piękną, młodą, zalotną, Bukowską z domu, która go, jako waryata i fantastyka lubić nie mogła. Poznał ją Suchodolski, podczaszy wówczas lubelski, mieszkający w Osowy i pokochał. Jako młodzi i rozmiłowani porozumieli się z sobą. Z częstych nawiedzin Suchodolskiego, mąż powziął podejrzenie i śledził żonę. Razu jednego udał, że się na kilka dni oddała z domu; jadąc spotkał posłańca od Suchodolskiego z listem do jejmości, odpowiadającym na jej

doniesienie o oddaleniu się męża i zaproszenie do siebie. Odpowiedź Suchodolskiego mieściła, że się stawi na godzinę i była napisana w takich wyrazach, iż wstyd i skromność nie dozwala jej powtórzyć, całą rozwiążłość przelał w nią i dostarczył mężowi dowodu występnej schadzki; Kiełczewski list kazał zanieść do żony, a sam ukryty z dobranymi siepaczami czekał na przybycie Suchodolskiego. Gdy ten przyjechał i usadowił się w domu, mąż obrażony wpadł do pokoju, gościa wyciągnął z niego, wyliczyć mu kazał sto batogów i zostawił na śniegu i mrozie trzaskającym w pół nieżywego. Żona przelękała wśród tej wrzawy, uszła bosimi nogami pod protekcję miejscowego proboszcza na plebanię. Suchodolski doczołgał się do blizkiej karczmy, w niej żyd zbitego i pokaleczonego, otrętwiwszy bóle jego wódką, okrywszy swoim płaszczem, odesłał do Osowy; kiedy Kiełczewski już zapomniał o swoim okrutnym czynie, podczaszy lubelski, ozdrowiawszy, myślał o zemście, zebrawszy więc zbrojnych ludzi i opatrzywszy w kańczugi, jak potem śledztwo odkryło, w oliwie namoczone, w kilka miesięcy zastąpił na drodze publicznej Kiełczewskiemu, jadącemu do Lublina, wywlec kazał z pojazdu, rozebrać i oddawszy mu za sto dwieście razów batogowych, na pół zmarłego na drodze zostawił. Silnej i rogatej duszy Kiełczewski otrzeźwiony przez sług swoich, kazał się wieźć do Lublina do urzędu grodzkiego, obdukcję ran i razów uczynił, manifest zaniósł i, wyzdrowiawszy, pozwał Suchodolskiego do rejestru kryminalnego. Toczyła się więc sprawa *magno motu*, między dwoma licznymi

i możnemi familjami przez lat kilka po dykasteriach. Mój ojciec, zaczynający wtedy palestrę, już w obronie stawał. Przyszła nakoniec kolej aż do najwyższego trybunału. Gwałt przez Suchodolskiego dokonany takie oburzenie sprawił, iż kreski szły za wyrokiem śmierci *capite plectendus*, jedna tylko kreska przeważyla za więzłą *in fundo*. Powiem niżej dla wiadomości młodszych, co to była wieża *in fundo*, bo z obecnych pism i powieści nie dowiedzą się, lub się dowiedzą nie tak, jak było, fałszywie, błędnie, *ignorantissime*, tak, jak im fantazyja i niesłowna imaginacyja podszeptuje, z zupełnem ubliżeniem prawdzie. Z tej wieży, która, okupując życie, miała być lżejszą, a była istotnie sroższą karą, bo przedłużała męczarnie, rzadko kto wyszedł z życiem, a kto ją wysiedział do terminu, zwykle jeszcze na puchlinę umarł. Suchodolskiego przecież skazanego na rok i sześć niedziel, bądź silna natura, bądź pobłażanie strażników uratowało. Wysiedział i zdrów wyszedł, na to, aby nową gwałtowną scenę wyprawił. Pokłóciwszy się w sklepie z kupcem protestantem, który się u niego o dług upominał, ranił go pałaszem w głowę pod powagą trybunału. Ten gwałt ściągał na niego karę kapitalną, ale u sędziów gorliwych katolików, uwolnił się od niej, jednym słowem, *blasphemabit*. Stawił przekupionych świadków i sam zaprzysiągł, że kupiec bluźnił przeciw Najświętszej Pannie. Znałem ja tego Suchodolskiego w młodości mojej już do lat 80 dochodzącego. Żył jeszcze lat dziesięć, bywałem z bratem moim zapraszany do niego na polowanie do wsi jego Stawce, i on bywał u mego ojca w Gałę-

zowie. Po 80 latach woził się sam karyolką parą dobremi końmi, biały, jak gołąbek, jeszcze był krzepki i silny, postaci nie wielkiej, lecz barczysty, żółtawy, twarzy rumianej, humoru stale jowialnego; chociaż pedogrą złamany i w sukiennych butach chodzący, w najpóźniejszym wieku od kolejnego kielicha ust nie uchylił; jękał się i lubił rozprawiać o swojej młodości, wspominając żartobliwie swoje sceny, jakby zwyczajną płochosć młodego wieku.

Teraz powiem o Floryanie Kielczewskim, dziecku Prawiednik, najslawniejszym myśliwym w województwie lubelskiem, a razem osobliwszym po wystąpieniu z wojska domatorze. Całe życie nie nie robił tylko polował i z liczną czeredą myśliwską włóczył się po swoich braci i sąsiadów lasach. Wszelkiego rodzaju polowanie, na sieci, na rozjazdy, na lep, na ptaki błotne i leśne, na zwierza grubego i płochego utrzymywał. Całą ludność wsi swojej na myśliwych i strzelców przeistoczył, rozpoił. Pańszczyzny i powinności częściej używał do parkanów i do sieci, niż do roli. Nie miał też intraty tylko z propinacyi, resztę wszystko zjadała myśliwska czereda, chociaż ziemia żyzna, prawie bez uprawy, dopisywała nieraz urodzajem. Od świtu już w lesie, lub na koniu z hartami, lub ze strzelbą na ramieniu, gdy napotkał włościanina, kopiącego i karczującego krzaki na swoim własnym polu, zabierał mu gracę i siekierę, mówiąc „czemu chłopie kopiesz krzaki, a gdzie się będzie zajączek chował”. Miał też zające, a chleba często brakowało. Cały plon zjadała i trawiła liczna hałastra myśliwska. Ktokolwiek zasłyszał o nim, prowadził

do niego różnego rodzaju psy z kłamliwym zachwaniem ich cnoty, a on przepłacał, lub gdy nie miał pieniędzy, co się często trafiało, zamieniał na krowy, woły, konie i zboże.

Jadąc do niego, co często matka moja, jako ulubiona bratanka jego czyniła wraz z nami, już spuszczać się z góry Żabiowolskiej ku prawiednickiemu ogromnemu stawowi, nad którym dwa młyny i hamernia się wznosiły, czuliśmy się otoczeni atmosferą. Już słychać było odgłos chrapliwy i rozmaitego tonu trąb i trąbek, trzaski charapów, nawoływanie psów. Spotykało się tulające lub ochudzone i pod krzakami zdychające psy, widziało się licznych strzelców, włóczących się to konno z chartami, to po polach, to po łąkach i błotach z siatkami z rozjazdami. Słyszano liczne strzały, często z niebezpieczeństwem przejeżdżających. Zatrzymałeś się przed karczma lub wstąpiłeś do niej, znalazłeś za stołem siedzących i rozprawiających przy kwartach gorzałki w szarych sukmanowych kurtkach i raituzach obdartych z torbami borsucze mi, harapami, sforami strzelców, a raczej opojów, opowiadających sobie wypadki myśliwskie, taczających się, lub klóących, albo w sieni strzelających do wrót karczemych z przestraczem żyda arendarza. Jechałeś ulicą krótką do dworu, widziałeś, jak się na niej ciągnął ogon tej sceny, włóczący się opili strzelcy lub bez duszy leżący pod płotem. Gdy się zbliżył do bramy i ta się przed końmi rozwarła, przywitały cię szczekaniem, wyciem, skowyczeniem, liczne zgraje psów różnego rodzaju, zaczęwszy od ogromnych brytanów, chartów aż do

drobnych taksów i muców, z których jedno chwyciły za chrapy konie, drugie uganiały się za pojazdem, cisnęły pod koła; nie jednego koło przejechało, co trzeba było taić przed panem; ledwie bicz furmański mógł sobie otworzyć drogę i sprawić, że się pojazd dobił przed dom. Dom, czyli tak nazwany dwór, był ogromny, z długą i szeroką sienią na przestrzał do sadu, z kilkudziesiąt jabłoni złożonego, był wprawdzie pobity z gontami, lecz starością w rzeszoto zamienionemi, przez które deszcz kapał. Przed domem obszerny ganek z ławkami do siedzenia. Do przybywających gości powszechnie gospodarz wychodził; jeżeli był w kurtce zielonej lisiej w zimie, a bez futra w lecie, i miał torbę borsuczą na sobie, znać było, że się na polowanie wybierał i nie potrzeba było długo bawić, gdyż jak z moją matką rodzoną synowicą, nie czynił ceremonii zostawiał ją, lub odpraszał słowy „zabaw się tu z ekonomową, bo mi objechali zwierza” i wyjeżdżał. Sień i przed domem sztagi napelnione były rozmaitego rodzaju zabitaą zwierzyną, dzikami, sarnami, zajęcami, równie jak ptastwem. Stały kojce z żyweńmi kuropatwami na przychówek, i takież z bekasami na błoniu i na bliskich łakach.

Dom ten, wlaży w ziemię, miał po większej części wybite okna zalepione lub nie zalepione papierem. Drzwiami, oknami cisnęły się i wlażyły psy, zajmując krzesła, ławki, zapiecki, ztąd taki fetor, takie niechlujstwo, że, wchodząc, trzeba było długie suknie podnosić i ostrożnie omijać nie wymiecione brudy. Pierwszy więc pokój ogromny, będący razem bawialnym i jadalnym, był wspólnym

z psami, a raczej był psiarnią, chociaż obszerne psiarnie, słomą nakryte, w bliskości dworu stały i do nich psy wieczorem po karmieniu zaganiano, lecz wiele się z nich kryło po kątach i w nocy sen spokojny przerywało wyciem i szczekaniem, któremu jak organy odpowiadały przeraźliwym głosem psiarnie. Alkierz tego pokoju, równie nie szczupły, był sypialnym pokojem, a raczej zbrojownią myśliwską. Na ścianach rozwieszona wypłowiała makata turecka, na niej mnóstwo strzelb, sztucców, janczarek, rzadka dubeltówka, wszystkie dziwerowane i nabijane srebrem; były i proste szwedzkie karabiny wypróbowane i donośne. W tym alkierzu stało łóżko liche, twarde, obrukane, z poduszką skórzaną zafolowaną, koc do nakrycia się, skóra niedźwiedzia przed łóżkiem. Torby, skóry, smycze, siatki wisiały u belek lub na ścianach. Szaty w niezamkniętych kufrach, obitych skórą czarną, inne na stołach. Na drugiej stronie sieni izba wielka, w niej szafa prosta, kredensowa z naczyniami cynowymi. W tej izbie chłopcy, psiarczyki lub strzelcy, naprawiali sieci, dziergali siatki, przyspasabiali narzędzia myśliwskie. Obok tej druga izba z wielkim kominem i przymurkiem na kotły, w których się nawara dla psów gotowała i stopy nówek baranich leżały przy ścianach; kuchnia zaś, w której dla pana i razem dla czeladzi myśliwskiej i rolnej gotowano, była o kilkadziesiąt kroków umieszczona w folwaruku, gdzie na obszernym kominie, na ogromnych żelaznych wilkach, dzień i noc gorzały ogromne szczapy surowego i syczącego drzewa. Jeżeliśmy z matką kiedy przyjechali w święto lub w dzień

dżdżysty, a zatem wolny od polowania, zatrzymywał nas gospodarz na obiad, a nawet na noc. Już jak ja go poznałem był zgrzybiałym starcem i z postaci obrzydliwym; przy stole, wśród jedzenia, czasem z kawałkiem stawy w ustach zasypiał, a pies jego faworyt, nieraz mu wyjął z ust pokarm lub zmiotł z talerza potrawę. Obudziwszy się, pytał czy zjadł, i wierzył, gdy mu potwierdzono. Matka moja, lnbująca niezmiernie czystość i ochędóstwo, miała obrzydzenie i do jego brodatych niechlujnych i zawsze pijanych kucharzy i do potraw, i do nakrycia stołu, i do tego współnictwa z psami, wymawiała się więc zawsze od noclegu, lecz przez uszanowanie dla stryja czasem na obiad wraz z nami zostawała. Stół prosty drewniany, nakrywano grubym, podgórskim, od kilku tygodni niepranym i poplamionym obrusem. Talerze, wazy, misy, łyżki stawiano i kładziono cynowe, nie wyczyszczone nigdy i ledwie obmyte. Potrawy były z drobiu, mięsa wołowego, a najwięcej ze zwierzyny, już dobrze wiatrem przewianej, jako niby, według zdania myśliwych, smaczniejszej. Chleb był żytni, choć pytlowany, ale czarny. Siadało do stołu kilku rezydentów, szlachty myśliwej, czepiającej się starca dla pożywienia, których on podejmował a oni go bawili kłamliwymi rozmowami o swoich wydarzeniach myśliwskich; nie jeden zasłużył być wysokim urzędnikiem w rzeczypospolitej Babińskiej. Ujeżdżaliśmy więc z tego domu jak można było najspieszniej. Moja matka, litując się nad niedołężnością starca, zwykła była zabierać z sobą jego bielezną stołową do prania, a dowiedziawszy się od

jego sług o niedostatku jego w bieliźnie, obszywała go i obdarzała koszulami, gdy się dowiedziała, że miał ich tylko dwie, i te rzadko odmieniał. On też wdzięczny, najczęściej rodziców moich odwiedzał, zawsze prawie z całym myślistwem. Póki siły miał, jeździł konno, gdy już zgrzybiatego i wzrok i nogi zawodziły, przyjeżdżał kareta sześciorobremi końmi, bo te ciągle utrzymywał. Razu jednego, w pogodny wieczór, przed słońca zachodem, przybywszy do mych rodziców, kazał sobie wynieść krzesło w podwórze i janczarkę przy sobie postawić, a gdy się jaskółki zjawily, strzelił do jednej i spadła. Mógł mieć wtedy lat 80. Wkrótce w Prawiednikach siedząc i drzemiąc na krześle, wiecznym snem zasnął. Prawiedniki i Żabiowolę zajął po nim w posiadanie Józef, starosta kachorlicki, z którym się najwięcej kochał. Dział ogólny nastąpił r. 1784, ojciec mój obrał sobie i objął Gałęzów. Z podziału po Floryanie Kieleczewskim dostała się nam część bardzo pięknej strzelby, długo w naszym domu będącej, póki nas z niej rozruchy i rewolucye nie obrały. Dostała się i część myśliwskich sprzętów a nawet i strzelców zręcznych, lecz wielkich opojów, którzy się po śmierci swego pana rozsypali po włościach Kieleczewskich, między ich i swoje rodziny. Jeden z nich służył u nas za dojeżdżacza, i opowiadał mi swoje następujące zdarzenie z Floryanem Kieleczewskim. Polował on w lasach wysockich na niedźwiedzia i stał na stanowisku na doświadczonym koniu, z którego zwykł był strzelać. W bliskości jego obrał miejsce tenże strzelec, gdy psy trafiły niedźwiedzia, zsiadł Kieleczewski z konia

i czekał na zwierza. Tymczasem ogromny niedźwiedź, już rozjuszony strzałami, szedł wprost na niego. Ów strzelec, ujrawszy zażartą bestyą, wybiegł na drogę, na której pilnował jego pan i zawołał, niech się pan usunie, bo niedźwiedź nadechodzi. Kiełczewski kiwnął na niego, aby z drogi ustąpił, a sam, gdy niedźwiedź obces nadbiegał, wziął się do strzału, ale go strzelba zawiodła, schronił się więc pod konia, niedźwiedź na konia się rzucił, gryźć i szarpać go zaczął. Koń bronił się kopytami i pana zasłaniał, jednak acz schronionego jeźdźca zwierz dostał łapą, i przez kurtkę lisią, kaftan łosiowy wrzepił pazury między żebra i okropnie zranił. Nadbiegła psiarnia i strzelcy, ubili niedźwiedzia, lecz Kiełczewskiego omdlałego i ranionego wraz z niedźwiedziem przywieziono, gdy go opatrzone i rana okazała się nieszkodliwą, strzelec ów, spodziewający się pochwały za ostrzeżenie pana, aby się usunął od niebezpieczeństwa, dostał w nagrodzie chłostę, nad którą sam pan stał, mówiąc: „nie strasz ty chłopie pana, bo pan nie baba”.

Józef Kiełczewski, starosta kachorlicki, starszy brat Floriana, przeżył go ośmioma czy dziewięcią latami, miał z Giżyckiej dwóch synów, Wincentego, który lepiej wychowany i już w zawód obywatelski wchodzący młodo umarł, i Jana, młodszego, którego nie lubił, i którego wychowanie zaniedbał tak, że zaledwie czytać i podpisać się umiał. Nazywał go zawsze Iwanem, i przez to podejrzenie rzucił na jego urodzenie. Ten Jan odziedziczył Prawiedniki i Piorkowice na Wołyniu, lecz wkrótce, stawszy się graczem i opojem, wpadłszy między hulaszczą pa-

lestrancką zgraję lubelską zaniebął gospodarstwo, zgrał się, zadłużył, sprzedał i zmarnował Piorkowice, a następnie Prawiedniki, które od niego kupił podkomorzy Grabowski, już wówczas dziedzic Osmolie. Tulął się więc lat kilka z fuzyjką i torbą na plecach, nakoniec rozpiwszy się gdzieś przy kwarterce, podobno u żyda za piecem, wstydnie życie zakończył, i na nim wygasła do szczętu druga męzka linia Skarbków Abdank Kiełczewskich, potomków owego kościelnego winowajcy. I tak się spełniła owa przepowiednia gminu, wiszącej nad jego rodem kary Bożej. Wypisałem obszernie tę historią rodziny naszej z matki, dla wiadomości, nauki i przestrzeni waszej, moje ukochane wnuki. Strzeżcie się najmniejszego przewinienia i przekroczenia praw ludzkich i boskich, pamiętając na tę doświadczeniem rodu waszego dowiedzioną prawdę. Od pomsty praw ludzkich, od kary zwierzchności społecznej uwolnić się nie trudno, lecz od nawidzenia Bożego, od kary i na tej ziemi, prędzej czy później żaden winowajca uchronić nie potrafi, jeżeli nie samego siebie to przynajmniej rodu swojego.

Pod wspomnieniem historyi Suchodolskiego z Kiełczewskim, obiecałem dać rys wierny kary więzy, z obmowy praw polskich dla winowajców przepisanej. Kształt jej dotąd przy zamku lubelskim oglądać można. Opiszę ją, i dam wiadomość, w jakim sposobie ta kara wykonowana była.

Wieża ta była dwojaka, górna i dolna. W górnej był jeden pokój obszerny, jak jej obwód z okienkami małemi. Wysiadywali tam karę przestępcy szlachta, za mniejsze przewinienia skazani na grzy-

wny i samotną pokutę. Dolna była zapuszczona w głąb ziemi kilkanaście sążni głębokości, bez światła i powietrza. Skazani na nią szlachta zabójcy, gwałtownicy bezpieczeństwa, lub najezdniccy zasługujący na karę miecza, (gdyż tylko za kradzież prywatną lub kościelną szlachezca szubienicą karano). Zamiast kary miecza, *redimendo caput* dla jakich okoliczności zmniejszających winę — lub przez fawor sędziów, przestępcy tego rodzaju na rok i sześć wieży *in fundo*, zwykle skazywani byli. Jeżeli im tej kary nie ulżyła litość lub przychylność stróżów, najczęściej śmierć ukaranych jej wysiedzenie przerywała. Ta więc kara, okupująca od śmierci, była w istocie sroższa nad nią przez zakaz pokarmów, światła i powietrza. Wieża górna była tylko lekkim więzieniem, przestępcy mogli używać wszelkich pokarmów, przyjmować odwiedziny krewnych i przyjaciół, cały rygor ograniczał się na nie przestąpieniu progu. Częste też zdarzyły się nadużycia; odwiedziny sprowadzały uczty, uczty pijaństwo, pijaństwo serenady i muzyki z gorszącem oszukaństwem prawa. Do tej w obydwóch wieżach wysiadywanej kary, przywiązywany był jeszcze ten rygor; iż przestąpienie progu w górnej, a wychylenie głowy na światło i powietrze w dolnej miało ten skutek, iż czas wysiedziany do chwili zgwałcenia tego prawa nie był liczony, i winowajca na nowo rozpoczynał swoją pokutę. Każdy szlachcie, na którąkolwiek z tych wież skazany, powinien się był dobrowolnie sam stawić przed urzędem grodzkim, umieszczonym w zamku przy wieży, który w akta zapisał jego stawienie się, a następnie wysiedzenie

i dopełnienie kary. Gdy stanął przed urzędem, schodził on po drabinie na sam dół wieży, i zaraz potem wyciągano drabinę. Przez czas siedzenia wpuszczano mu na sznurze wodę i chleb i nieczystości wyciągano. W chorobie żadnej mu nie udzielano pomocy, nie wiem nawet czy mu księdza i spowiednika dozwolano.

Wielu naszych, osobiwie terażniejszych pisarzy, to dobrowolne się stawianie szlachty winowców do poniesienia kary chcą uważać za zaletę charakteru narodowego, za wrosłe w naturę szlachty wysokie wyobrażenie o honorze rycerskiego stanu, a nawet za cześć i uszanowanie dla prawa. Ja tego aktu ani za posłuszeństwo dobrowolne prawu od tych, którzy je w towarzystwie podeptali i zgwałcili, ani na korzyść charakteru rycerskiego tłumaczyć sobie nie mogę, lecz przyznam go naturalnej obawie banicyi, pod której rygorem i pozwy do stawienia się przed sądem winowajcy wydawane były, i w wyroku zapadłym odsiedzenie kary nakazane, *sub poena banitionis, infamiae, liberae captivationis et colli*. Wiedział szlachcic, iż gdy się nie stawił do sądu, już tem samym *in contumaciam* sądzony będzie jako przyznający się do zbrodni. Wiedział, iż, stawivszy się, winien być posłusznym wyrokowi, gdyż unikając zawyrokovanej kary, jako banita, życie swoje oddaje do rozrządzenia niem, pierwszemu, który go spotka czy w własnym, czy w obcym kraju; pamiętał, że Zborowski zabił za granicą księcia Dymitra Sanguszkę banitę, za porwanie księżniczki Ostrogskiej. Przeto gdy zasiadał wieżę, musiał akt ingresu zapisać w akta, gdy z niej

wychodził, musiał się podobnym aktem zaopatrzyć, inaczej nie był pewnym życia.

Rzecz szczególna, jak stan szlachecki czyli rycerski, acz zasłużony męstwem i krwią w kraju, i ztąd tak przez królów samowładnych w początkach swego związku, a później sam przez siebie uprzywilejowany i wyniesiony, nadużywając swojej przewagi, względem innych stanów, był niesprawiedliwym i nieludzkim, jak je obierał z praw, wspólnie wszystkim mieszkańcom służących, i wyłącznie do siebie je stosować i sobie przywłaszczać umiał. Nie ma na świecie zbawienniejszego prawa nad to, które starzy przodkowie na królach wymogli; *neminem captivabimus, nisi jure vinctum*. Wyraz *neminem* (nikogo), czyż zbyt oczywiście nie dowodzi, iż to prawo miało na celu rozciągnięcie bezpieczeństwa osobistego i opieki nad każdą ludzką, jakiego bądź stanu na ziemi polskiej żyjącą istotą. Kładziono to prawo w *pacta conventa* królom wybieralnym, i zaprzysięgali je uroczyście. Przecież włościanina lub żyda każdy szlachcic był samowolnym sędzią. Mieszczan magistrat, włościanina pan karał więzieniem i chłostą, za kradzieże i inne ciężkie nawet przewinienia. Za zbrodnię jawnie więził, kuł w dyby lub kajdany, oddawał pod sąd do magistratu lub grodu, gdzie go czekała szubienica lub miecz i to częstokroć bez apelacyi. Agraciacia, ten jedyny nad wszystkie i święty przywilej monarchów, znaną nie była. Dla tego też w wieku oświeceńszym Naruszewicz, acz szlachcic ze znakomitego i możnego rodu w Litwie, lecz mądry i ludzki, śmiało wyrzucając rozpasanej szlachcie polskiej jej nadużycia

i przesady i surową jej mówiąc prawdę, w jednej ze swoich satyr umieścił te dwa wiersze, malujące ohydę czasów, w których żył:

Bo w Polsce złota wolność pewnych granic strzeże,  
Panu nie—chłopa na pal—szlachcica na wieże.

Wspomniawszy o niektórych domach obywatelskich w województwie lubelskiem, wymieniwszy znakomitsze tego województwa rodziny, winienem jeszcze przedstawić obraz dwóch najcelniejszych domów, które były tej części kraju ozdobą i chlubą.

---

### Puławy. — Opole.

Na czele domów możnych jak w całym kraju tak w województwie lubelskiem stały Puławy. Nie będę ich tu opisywał. Słyną one nietylko w narodowych, lecz i zagranicznych pismach. Czem były dla Polski, wspomniałem po części w przypiskach mego *Ziemiaństwa*. Powstawały z krajem, kwitły wraz z krajem i wraz z krajem znikły. Zagłada Polski, dotknęła zagładą ten przybytek, ten wieczny pomnik wspaniałości, miłości ojczyzny, cnót, oświecenia, nauk, oglady, zalet, wdzięków narodowych. Wspomnienia o nich przeżyją w pamięci ludzkiej. Lecz z gmachów ich mieszkalnych już ani kamienia nie ma. Jaka strata, jeśli komu nie wpadło na myśl, nim ich grom zagłady dotknął, zdjąć obraz tych gmachów, tych świątyń, tych kościołów, tych ogrodów uręczych, w których się w różnych epokach doli i niedoli cała Polska chroniła. Wypiszę tu wiersze wymazane z mego *Ziemiaństwa*. Dadzą one choć słabe wyobrażenie o tem, czem były Puławy

O wy wieczne pomniki narodowej sławy,  
 Świetne z siebie, świetniejsze z mieszkańców—Puławy!  
 Stolico cnót ojczystych, wdzięków i oświaty,  
 Ileż drogich wznawiacie wspomnień dla Sarmaty!  
 Wam ojczyzna, gdy na nią świat się spiknął cały,  
 Konając odkazała wszystkie skarby chwały.  
 Ile w niej bohaterów, wieszczów, mędrców slynie,  
 Tu ich cnót serca składem, a szczątków świątynie,  
 Tu żyją w każdym drzewie, tu tchną w każdym głazie,  
 I w tym sprawdzonym gajów Elizu obrazie,  
 Zda się, że nieoddzielne od tarcz i orężów  
 Snują się po przysionkach dusze wielkich mężów,  
 I pod dwóch z Jagiełońskiej krwi Nestorów wodzą,  
 W zwiedzającą te święte miejsca młodź przechodzą.

Puław do żadnego z najmożniejszych domów w Polsce równać nie można. Każdyby stracił na porównaniu. Z Puław, rzec się godzi, smak, ogląda, obyczajność, duch, rozszedł się po całym kraju, a województwo lubelskie pod tym względem najwięcej i winno. Puławy wprawdzie otaczała inna, im tylko właściwa, od innych rodzin oddzielna atmosfera. Nie polszczyzna tam cudzoziemszczała, lecz się cudzoziemszczyzna spolszczała. Wszystko tam było polskie, wszystko narodowe. Nie było staroświeczczyzny, lecz starożytne cnoty przebijały się przez ukształcone i ugrzęźnione obyczaje, tak, że kto Puławami oddychał, można go było rozpoznać od innych. Może było nieco zalotności, romanowości, egzaltacyi w kobietach, nieco lekkości i płochości w młodzieży; lecz te za szranki skromności i przyzwoitości, osobliwie w moich czasach, nie przechodziły. Była to prawdziwie pod tym względem wyspa zaczarowana, w której stawało się ko-

niecznością wzdychać do grona uroczych kobiet i do Polski, a obok tego ileż cnót publicznych, ileż domowych, ile ludzkości, ile dobroczynności, ile ofiar, ile poświęceń, ile hojności dla włościan, dla kalek, dla ubóstwa, dla sierot nieszczęśliwych, ile nakoniec przy skonaniu Polski nieporównanych wzorów cnót starożytnych. Pani Hoffmann w swoich pismach wspomniała niektóre ich rysy, ja je w *Ziemiaństwie* śpiewałem, tu dwa główniejsze przytoczę.

Książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, miał przy sobie sekretarza niejakiego Skowrońskiego, którego niezmiernie szanował i kochał. Jak zwykle na dworze, zazdrozczono mu łask i faworów pańskich. Zdarzyło się, iż za rządu austriackiego sprzedawszy Książę dobra Ręczaje pod Warszawą, do odebrania raty za te dobra 15,000 czerwonych złotych wynoszącej, potrzebował zaufanego człowieka wysłać. Skowroński skwapliwy do posług podjął się po nią jechać do Warszawy. Pojechał i odebrał. Wyjeżdżając z Warszawy furmąnem żydem, wielką budą brodzką, te pieniądze w małej beczulce zapakowane i zabite umieścił w bryce tak, aby między jego kolanami leżały. Jadąc zbyt wolno po piaskach, między Ryczywołem a Kozienicami usnął. To samo zrobił i lokaj wierny, acz go ostrzegął, aby czuwał. Przyjechawszy do Kozienic ocknęli się oba i spostrzegli, że pieniędzy niema. Skowroński już wiekiem osiwiał ledwie ze zgryzoty apopleksyi nie dostał. Musiano mu krew puścić i zachorował na drodze ze zgryzoty. Jako człowiek nieskażony uczuł, iż trzeba będzie majątkiem zastąpić stratę, aby swój honor ocalić. Dał

więc Księżciu wiadomość o nieszczęściu i o swojej słabości, a tymczasem przedsięwziął poszukiwania. Żyda oddał do policyi, lecz ten się wyprzysiągł, że o pieniądzech ani wiedział ani widział. Gdy ta wiadomość przysła do Puław, zaraz na ustach dworaków dał się widzieć uśmiech posądzenia. Jakże to mógłby jeden człowiek dźwignąć półtora cetnara ciężaru? a kilku nie napadło. Zgoła zaczęto wątpić o nieskazitelności starego slugi, a że Skowroński swemu lokajowi ufał tyle, co sobie, chociaż go także do policyjnej indagacyi oddał, obu o zмовę podejrzowano. Ale Książę w tej samej chwili, w której odebrał wiadomość, wysła do Skowrońskiego sztafetę z listem w tych słowach: „kochany przyjacielu, więcej mi idzie o twoje zdrowie jak o pieniądze. Nie martw się, ta strata mię nie rujnuje, a może się znajdzie. Większa dla mnie strata, gdy zdrowie nadwyreżysz. Zaklinam cię, przyjeżdżaj jaknajprędzej. Mnie ten przypadek bynajmniej nie zmartwił; przyjeżdżaj, abym cię uściskał i pocieszył”. We trzy miesiące schwytano żyda z Kozienic, który dukaty zmieniał. Pokazało się, że furman, żyd, jadąc przez las kozienicki, spostrzegłszy śpiących smaczno pana i lokaja, stanął w głębokim kale wody pod pozorem poprawienia czegoś koło kół. Zdjął koło, nachylił brykę, stoczył baryłkę przez otwór, który półkoszek zakrywał, potem w nocy przy pomocy współzłodziei przeniósł ją do lasu, zakopał i tylko kilkaset dukatów z niej ubrał. Tak się więc pieniądze znalazły i honor Skowrońskiego ocalaony został. Słyszałem opowiadających to w ten sposób Goltza, doktora puławskiego i samego Skowrońskie-

go, który ze łzami dodawał: „jak takiego pana nie sławić, nie kochać i nie służyć mu wiernie?”

Drugie zdarzenie równie maluje wielką wspaniałość i dobroczynność tego Księcia... Pani Hoffmann wspomniała o niem. Szumlański oficer polski z legjonów, którego rodzina, blisko Sieniawy mieszkająca, znaną była Księciu, po rozwiązaniu legjonów włoskich, płynąc do Konstantynopola schwytyany został przez rozbójniczy statek, sprzedany Turkom i wsadzony jak niewolnik do podziemnych lochów. Rok blisko w nich jęczał, w twardych robotach i obawie o życie, gdy mu przyszła myśl zgłosić się sekretnym biletem do ambasady austryjskiej. Ambasada wstawiła się, lecz żądano kilka tysięcy czerwonych złotych okupu. Napisał więc na ręce tej ambasady, kilka słów do Księcia: „jestem Szumlański, z nazwiska znany WKsMości. Jęczę w niewoli, żądają kilka tysięcy czerwonych złt. okupu, rodzina moja nie jest w stanie mię ratować; dobroczynny Książę, ocal twojem wstawieniem się nieszczęśliwego rodaka”. W tym momencie idzie list Księcia do ambasady austryjskiej wraz z asygnacją otwartego kredytu, do bankiera. Za 6,000 czerw. złt., wykupiony Szumlański powraca na łono rodziny i staje w Sieniawie. Był on potem za Księstwa Warszawskiego adjutantem przy Księciu Józefie. Plakał z wdzięczności, gdy to opowiadał.

Równie wymowny dowód wspaniałości Puław dla Anglika, znanego tam i ożenionego z jedną z wychowanic Księżny, przytoczyć można. Nadużywszy on marnotrawstwem kredytu w Anglii, osadzony został w więzieniu, i według całej surowości

praw angielskich, miał być sądzony. Żona, dowiedziawszy się o tem, zalana łzami udała się do Księcia. Otarł jej łzy, płacąc za męża kilkanaście tysięcy dukatów.

Drugi dom najmożniejszy po Puławach za moich czasów był bezwątpienia w Opolu. Mieszkał w nim Książę Antoni Lubomirski, wprzód wojewoda lubelski, a potem kasztelan krakowski, pan z oświecenia, z stałej przychylności do dworu saskiego znany. Ożenił on się z wdową po Tarle, wojewodzie sandomirskim, z domu Krasińską, dożywotniczką Opola, ciotką rodzoną Franciszki Krasińskiej, królewicza Karola żony. Póki dwór saski za wdaniem się Maryi Teresy, cesarzowej austriackiej, nie uznał tego małżeństwa, królewiczowa mieszkała w Opolu przy ciotce i Lubowirscy otaczali ją całym urokiem jej wyniesienia. Wspaniałe Opola gmachy dla niej ozdobione były. Dwór, wystawa jego, ucztę, zabawy, polowania, zjazdy, rozrywały tęsknotę do oddalonego męża młodej małżonki, i polska krew szlachecka dwóch znakomitych imion, nie sądząc się niegodną związków z panującymi rodami podnosiła się do ich wysokości. Gdy królewiczowa uznana została przez dwór saski i do rodziny przybraną, a książę Antoni kasztelan krakowski, życie sobie zbytniem używaniem trunku ukrócił, wdowa po nim poważna, oświecona i wielkiego rozumu matrona, mniej głośnie ale nie mniej wystawne i bardzo rządne życie prowadziła. Zwykle część roku przepędzała w pałacu swoim za ogrodem Saskim w Warszawie. Częściej mieszkała w Opolu. Już sędziwa, otaczać się zwykła była najpoważniejszymi osobami

przybywającemi tak ze stolicy jako też z województwa. Książę Alexander Lubomirski wojewodzie kijowski wychowaniec księcia kasztelana krakowskiego, któremu on dziedzictwo Opola nabytego przez siebie od Tarłów zapisał, i którego w służbę francuzką oddał, dosłużywszy się tam marszałkostwa polnego, świeżo z tej służby powrócił i w Opolu w oficynie mieszkał. Nabył on potem Niezdów od Moszyńskiego marszałka i w nim nadobny pałacyk wystawił. Jędrzej Tarło kasztelanie lubelski, ostatni potomek tego imienia, dziedzic Babina, długo podróżujący po Francyi, oświecony i wykształcony, lecz marnotrawca i płochy z młodą i piękną żoną Świeżawską rozwiódł się, fortunę stracił i jedynie dom jego stryjenki kasztelanowej krakowskiej stał się jego przytułkiem. Lecz reszta pańskiej i upokorzonej dumy cierpiała na tem, że utrzymywany był kosztem stryjenki, i kaprysami rozdrażnionego charakteru często narażał się swojej dobrodziejce. Jednak poważna i rozumna matrona umiała go utrzymywać w granicach uszanowania. On, ksiądz Kułagowski, oświecony prałat, ksiądz Karoli rektor Pijarów, i liczna familia bratanek i wnuków, Świdzińskich, Wodzickich, Jabłonowskich, Krasińskich, składali zwyczajne towarzystwo. Wojewoda lubelski, Chrynowiecki pewny czas przemieszkiwał. Nie zbywało i na sąsiadach poważniejszych wiekiem i znaczeniem. Wszystkie rodziny bywały umieszczane w obszernych oficynach, w przystojnych apartamentach gościnnych z posługą i wygodą. Rano wizytowały się nawzajem. O 11-ej godzinie schodzono się na pokoje. Gdy już kilka osób zebrało się wycho-

działa poważna księżna, siadała na kanapie, otaczali stolik wojewoda lubelski, ks. Kułagowski, Tarło, Goltz podkomorzy, poważniejsi goście i matrony pokrewne. Szereg panien zasiadł sofy, młodzież stanęła za krzesłami starszych, i zaczęło się czytanie gazet, udzielanie sobie wiadomości z listów, polityczne wnioski i dysputy, szczególnie Kułagowskiego z Tarłem. Pierwszy był gadatliwy, lecz zimny, drugi żywy i kapryśny. Gdy tego nie stało, brano jaką nową książkę polską, które podczas sejmku wychodziły, lub francuską jaką, lecz moralną. Pierwszą zwykle czytywał głośno rektor Pijarów, drugą młoda jaka wnuczka lub wnuk ze Świdzińskich lub Wodzickich. Obiad zwykle bywał w sali, portretami Lubomirskich ozdobionej, o godzinie drugiej. Po obiedzie rozchodzono się. Wieczorem o 6-tej zgromadzano się w tym samym sposobie. Młodzież gdy nie tańczyła, grała w rozmaite gry, w które się czasem książę Aleksander mieszał, a że był wesoły i żartobliwy i rozśmieszał panny, nieraz księżna, zerkając okiem przez podwoje otwarte, przywoływała go, mówiąc: Mości książę, nie pustuj!

Starsi otaczali stolik księżny i księżna drylowała złote lub srebrne galony. Pomagały jej Wodzicka, starościna grzybowska, Świdzińska kasztelanowa radomska i inne, a ona rozmawiała z starszymi. W karty rzadko grywano. Czasem księżna kazała z swojej garderoby stanąć rezydentkom młodym i pannom, które chociaż nieuczzone śpiewały przyjemnie na głosy piosneczki Karpińskiego, a często Książka o wąsach:

Ozdobo twarzy, pokrętno wąsy!

Gdy przyszło na strofę o Stanisławie Lubomirskim hetmanie:

Gdy się z potęgą Osmana mierzył,  
Włos mu się siwy w górę najeżył.—

Księżna się wtenczas pyszniła wzrokiem i giestem, i powtarzano: fora.

W roku, zdaje mi się, 1784, następcą tronu rosyjskiego, wyprawiony przez Imperatorową matkę za granicę, przejeżdżał przez Opole, nocował i dzień spoczywał. Księżna przyjmowała go w sposób godny takiego gościa. Jechał z młodą żoną, jak prywatny, z niewielkim orszakiem, był uprzejmy i grzeczny dla księżny i wszystkich, którzy się wtedy znajdowali w pałacu na jego powitanie. Gdy odjeżdżał, księżna, acz znacznie otyła, na opuchłych nogach, zeszła na dół, chociaż ją prosił, aby tego nie czyniła. Gdy wsiadał do otwartego pojazdu, w dzień, w którym zimny i przykry wiatr się zerwał, zapytał się, z której strony jest wiatr? Gdy ktoś się odezwał: *C'est le vent du nord* — odrzekł z uśmiechem: *Je voudrais vous le rendre favorable*—i odjechał.

Dwa wesela pod mojem okiem odbyły się w Opolu, na których przypatrzyłem się staroświeckim dawnym polskim zwyczajom. Pierwsze w 1785 roku, na Nowy Rok, siostry mojej rodzonej, w obecności zaproszonych licznych gości z trybunału, już rozjeżdżającego się z Lublina, i obywateli wraz z rodzinami prawie całego województwa. Była na niem i owa starościna Sieradzka, o której wyżej wspominałem. Księżna albowiem, wielka przyjaciółka me-

go ojca, gdy zjeżdżała do Opolu, zwykle wymagała po śmierci mojej matki, aby jej przysyłał córkę dla wyswatania jej. Siostra więc moja mieszkowała po kilka miesięcy w Opolu, a chociaż nie w Opolu, lecz w domu ojcowskim dostała konkurenta, księżna wymogła na moim ojcu, aby się to wesele odbyło w jej domu. Szwagier mój, Ignacy Bobrownicki, acz majątny, nie był z tego kontent, bo go to zmuszało do większej wystawy. Jakoż wesele, co do liczby osób, wyboru ich i ekwipażów było wystawne. Trwało aż do Trzech Króli. Tańcowano póki przez Bełżyce nie przeniosło się do domu ojca mego. Na to wesele przywieziono nas ze szkół. Mieliśmy przy sobie ze szkół zamojskich dyrektora, czyli korepetytora, młodego człowieka, szlachcica rodem z Tarnawki, niejakiego Gano. Ten nigdy w podobnem towarzystwie nie bywał, po woskowanych posadzkach nie chodził, z postaci niezgrabny, białokurowaty, krótkiego i zezowatego wzroku, a przytem nieśmiały. Na ten obchód ubrał się w mundur lubelski i w nowe buty, które podkówkami podkuć kazał, a tu posadzkę tak wywoskowano ślizko, iż tancerze na niej ślizgali się, lub padali. Wieczór więc wchodziliśmy na pokoje. Wszedłszy do niezmiernie oświetlonej sali, ujrzeliśmy ojca naszego rozmawiającego z księżną. Naturalnym było popędem dzieci biedz żywym krokiem do ojca. Pan dyrektor chciał za nami pośpieszyć, ale światło i wielkie naprzeciw siebie zwierciadła olśniły wzrok jego krótki. Odbijaną przez nie swoją postać własną wziął za obcą osobę. Co przyskoczył do jednego zwierciadła, to się cofał do drugiego,

i tak błąkał się, gdy nagle za nami usłyszeliśmy rumot wielki, a po nim śmiech całej libery i kapeli. Biedny dyrektor, pośliznąwszy się, padł, jak długi i rozkrzyżował się. Zrywał się i padał, aż na koniec zerwawszy się, uciekł przez jadalną salę, skrył się, nie można go było znaleźć i ledwie się nazajutrz okazał.

Drugie wesele w tym rodzaju w trzy lata później, wyprawiała księżna kasztelanowa krakowska wnuczce swojej, kasztelance radomskiej, Zofii Świdzińskiej, wyswatanej za Karczewskiego z Ciepeliowa, młodego i przystojnego człowieka, syna starosty liwskiego, szambelana dworu Augusta III. Pan młody był zbyt nieśmiały. Wieńczyny przedślubne odbywały się w pięknej białej sali. Rozesłano wielki kosztowny dywan, pośrodku postawiono bogato złożony taburet, weszła panna młoda z matką, w białej sukni, z rozpuszczonemi włosami, otaczało ją dwanaście młodych panien, które rozdawały bukiety świeże z mirtu i rozmarynu wraz ze złotemi iglicami i szpilkami. Przyniesiono na tacy koronę brylantową, przeplataną mirtem. Ruszyła się sędziwa i poważna księżna kasztelanowa krakowska. Rodzina młoda i sędziwa otoczyła taburet. Wszedł pan młody z kilku družbami. Ubrany w błękitny frak, zresztą był cały w bieli. Trzewiki jego nawet były opatrzone białemi fontaziami. Lecz co najwięcej uderzało, że miał rozpuszczone włosy, jak panna młoda, zwinięte w pukle na plecach i ujęte tylko białą wstążką, a nawet mirtowy wieniec na głowie. Kasztelanowa przypięła sama koronę do skroni panny młodej. Potem państwo młodzi upadli do nóg

stryjence, matce i ojcu pana młodego, po błogosławieństwie udali się do kościoła. Trzy dni trwało to wesele, które już ożywiała księżna Aleksandrowa Lubomirska, młoda, piękna, wesoła aż do pustoty.

W parę lat umarła w Warszawie księżna kasztelanowa krakowska, podczas sejmu, zdaje mi się, 1790 r. Była to pani mądra, oświecona, prawdziwy i może ostatni wzór, podobnie, jak księżna marszałkowska Sanguszkowa, możnych pań polskich. Mówiła obcemi językami, lubiła literaturę i oświeconych ludzi towarzystwo, lecz razem przyciągała do siebie, acz niższych wykształceniem, byle prawych i słusznie wziętych. Miała bibliotekę nieszczupłą, gabinet historyi naturalnej ptaków i płazów z gorących klimatów, dwie mumie egipskie znajdowały się w tym zbiorze. Prócz tego posiadało Opole zbiór mineralogiczny, w którym zebrane były starożytne i nowe bronie i zbroje. W jednych tylko Siemiatyczach u księżny Jabłonowskiej były podobne, ale nierównie obfitsze gabinety. Pisała dobrze językiem francuskim i polskim, równie co do stylu, rozumu, dowcipu, a nawet co do kaligrafii wybornie. Znalazłem jej polityczne korespondencye z moim ojcem. Uderzył mnie w nich wyborny sąd o sejmie i polityce. Po jej śmierci Opole przeszło na dziedzictwo księcia Aleksandra Lubomirskiego, już wtedy kasztelana kijowskiego, jednego z najmożniejszych panów w Polsce. O ile pod młodym, nowym i zaledwie ożenionym dziedzicem zyskały gmachy opolskie na wspaniałości, wystawie, świetności, elegancyi, o tyle nie zrównały się z przeszłością, powagą i gościnnością polską. Już to był tryb życia polsko-cudzoziemski,

mało uczęszczało kontuszków, wiele cudzoziemców lub fraków polskich.

Wiadomo jest wszystkim, jakim sposobem uszczupliła się fortuna wielka, niezmierna, księcia Aleksandra, jaki los okropny spotkał w Paryżu, żonę jego młodą, uroczą i jedną z najpiękniejszych kobiet Polski. Wiadomo niejednemu, jak ta fortuna przetrwała w znacznej jeszcze bryle ziemi rząd austriacki i zarząd po śmierci księcia w Wiedniu nastąpionej, Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, jak potem jedyna córka tego księcia, a następnie synowa tegoż hetmana, umiała zrobić te gmachy przybytkiem rozumu, talentów, rzadko w jednej osobie połączonych ponęt nauki i dowcipu. Niestety, gdzież są te gmachy? Co się z nimi stało; jedna rada fałszywa, jedna chwila zbyt uczynności w rozum doradcy pozbawiła je ozdób, świetności; i z tych wspaniałych niegdyś pamiątek dawnej zamożności, sterczą tylko opuszczone i nieużyteczne zwaliska. Nie zawsze potomni chcą szanować, nie zawsze mogą zachowywać pomniki swoich przodków. Jedni z odmianą wyobrażeń mało cenić zwykli to, do czego tamci tyle przywiązywali wagi i odżyć w nich mieli nadzieję; drudzy przy zmianie okoliczności, przy upadku majątków nie są w możności utrzymywać tych pamiątek i pomników, które ocalić i następnie przekazaćby chcieli. Ja mogę powiedzieć z żalem; jedna z najznakomitszych pań polskich, i może wielkiej pani typ ostatni, słynna nie tylko w kraju, lecz i za granicą z wszystkich przymiotów, które do najcelniejszych wyższości umysłowych należą, i jakby jej wpływu igrzysko, w dzie-

ciństwie wykolysana w więzieniu, w młodości jedna z najpiękniejszych dziewcząt polskich, najświetniejsza i najbogatsza partya w kraju; a potem żona, matka, wdowa najnieszczęśliwsza, oplakawszy stratę najstarszego syna jednego z najznakomitszych młodzieńców Polski, potem zgon najmłodszego, oblawszy łzami grób ulubionej i podziwianej z rzadkiego dowcipu, nauki i talentów córki, z zmartwiałem przez nieszczęścia sercem, mocując się z czczością życia i samotnością wiejską, przeniosła w obce ręce Opole i Niezdów.

Kiedy z zasmuconą duszą spoglądam na Puławę, Opole, Lewartów, Kurów, Celejów, zdaje mi się, że jestem po śmierci Polski na licytacji najdroższych po niej sprzętów, które rozbierają między sobą z bogaceni kapitaliści, kiedy zaś zdaleka rzucę okiem na społeczność stołeczną, widzę, że sprawdzi się podobno obraz przedstawiony w „Moszkopolls” Niemcewicza.

---

## Epoka czteroletniego sejm.

---

Już podczas sejmku grodzieńskiego, na którym młodzież przez komisją edukacyjną wychowana udział w sprawach publicznych wzięła, już głosy tej młodzieży w sławnej sprawie Tyzenhauza podskarbiego Wksięstwa litewskiego, i ofiara na tym sejmie czyniona dla Rzeczypospolitej przez Szczęsnego Potockiego wojewodę ruskiego i generała artylerji, z regimentu piechoty i dwunastu armat, również jak różne polityczne pisma rozchodzące się po kraju, a szczególnie dzieło Stanisława Staszica, które Wybickiemu przypisywano, pod tytułem: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego”, wstrzęsły w całej Polsce umysły i wzrok utopiony w zabawach ucztach, a długo obojętny na losy kraju, zwróciły troskliwie na jego przyszłą dolę. — Podróż króla do Kaniowa, a po powrocie rozchodzące się wieści o wojnie mię-

dzy Rosyą, Austryą i Turcyą, wzbudziły powszechne przekonanie, że nadchodzi najważniejsza epoka dla polityki europejskiej, a szczególnie dla Polski. Pod tem godłem otworzył się sejm konfederacji generalnej r. 1788, pod łaską Stanisława Małachowskiego i księcia Kazimierza Nestora Sapiehy. Listy polityczne Hugona Kołłątaja do tegoż Małachowskiego budziły w polskiej szlachcie uczucie potrzeby korzystania z pory. Oczekiwania pierwszych czynności tego sejmu były troskliwe. Chwytano z ciekawością gazety napełnione nie samemi wiadomościami o urodzinach, zaślubinach, pogrzebach, ucztach, balach i t. d. Nawet gazeta Łuskińy obszerniej wiadomości polityczne mieściła; rozmaite też drobne pisma oswajały z prawami europejskiemi, i razem wykazywały ducha sejmu. Gdy sejm wyłamał się z pod gwarancyi rosyjskiej ucieszono się; lecz gdy gabinet berliński oświadczył chęć zawarcia traktatu i przymierza *offensive* i *defensive*, a Rosyja na odepchnięcie jego oświadczyła, iż te same korzyści zapewnia co dwór pruski, za czem król wymownie i politycznie przemówił, lecz wrzącego przeciw Rosyi zapału przemódz nie mógł, i gdy alians z Prusami zawarty został, przeraziły się na prowincyi trwogą umysły, i o ile młodzież zapalała się i cieszyła, o tyle starsi, rozważniejsi, doświadczeni, a szczególnie kontuszowi Polacy, pomnąc na doświadczenie, zataić swych obaw nie mogli, i opinia na prowincyi podzieliła się na stronnictwo rosyjskie, dworskie i pruskie.

To ostatnie najsilniejsze odbierało poparcie z Puław. Byłem świadkiem, jak w Opolu i w in-

nych obywatelskich domach przyganiano jako zbyt skwapliwy i nierozważny krok sejmu ten związek z Prusami. Mówiono kiedy Rosya te same ofiarowała korzyści, po co z nią zrywać, po co wystawić się na wojnę. A gdy odpowiadano Rosya nas tyle razy uwiodła i teraz by to samo uczyniła, teraz się skłania, bo przeszkodzić nie może. Zkądże pewność, że król pruski tego samego nie zrobi, było odpowiedzią stronników rosyjskich: Turcy Rosyi nie zawojują, pokój zawrą, a wtenczas to potężne mocarstwo zemści się na nas. Prusy nas ani Anglia od tej zemsty nie zasłonią. Niestety! sprawdziło się co przewidywali starsi; wzmogła się ta ich obawa, gdy Szczęsny Potocki generał artylerji i z Rosyą aliansu stronnik, po rozlicznych upokorzeniach obrażony wyjechał z Warszawy. Sprawie i sądowi na Ponińskiego nie poklaskiwano, chociaż nienawidzony zdrajcy; rozbierając zkąd pochodziło zaskarzenie, jakie sprowadziło spory w sejmie, jak rozdziwiło umysły, jak przeraziło możnych i licznych współników, trafnie oceniano, że było wymyślone na zwłokę ważniejszych przedmiotów, uzbrojenia i podatków. Mówiono „już się rok jeden ciągnie sprawa jednego zbrodniarza, który w 24 godzinach głowę powinien stracić, mnożą się niesnaski w chwili, w której najściślej potrzeba, a obrona kraju cierpi. Kiedy zerwali z Rosyą i tak ją drażnią, czemu nie zbierają wojska, nie nie zbroją całego narodu, nie przysposabiają popolitego ruszenia, czy czekają aż Rosya pokój zawrze; to już będzie po niewczasie”, wprawdzie zaczęły się werbunki i rotmistrze kawaleryi narodo-

wej okazali się po miastach wojewódzkich i powiatowych, namawiając młodzież próżnującą po kancelaryach do szwadronów jazdy. Młódź chętnie się cisnęła, lecz więcej trawiono czasu na ubiorach i ekwipowaniach jak na ćwiczeniach, a prócz tego zaraz się rozwinęły wypadki przewodzenia i niekar-  
 V ności. W Zemborzycach pod Lublinem zbito nie-  
 miłosiernie dzierzawcę niejakiego Monikowskiego, w Krasnymstawie pan Adam Walewski, brygadier kawaleryi narodowej, wraz z panem Czyżem, rotmistrem, całą komisję cywilno wojskową, w której reprezentant wojska zasiadał do publicznego aresztu wsadził, za to że wydała zakaz chodzenia po pijanemu z pochodniami, po ulicach drewnianego miasta. Komisya wojskowa z Warszawy zesłała wprawdzie pana Kościuszkę na indagacyę i poskromienie; skarga obywateli wytoczyła się na sejm; lecz wojewoda sieradzki Walewski z przyjaciółmi swymi w sejmie osłonili winowajców od surowości kary i raczej pobłażono jak ukarano. Sejm zalimitował się na kilka niedziel, a zamysłając już o nowej formie rządu, wydał uniwersały na wybór podwójnej liczby posłów. Te wyborecze sejmiki odbyły się spokojnie. Z ziemi lubelskiej wybrany został Tomasz Dłuski podkomorzy lubelski i Kazimierz Rzewuski, pisarz Wkoronny, starosta urzędowski. Po tych wyborach sejm zaczął wydawać wewnętrzne urządzenia, wkrótce potem wykrzyknął już przygotowaną konstytucyą 3-go maja, o której ustanowieniu różne sprzeczne rozeszły się z Warszawy wiadomości.

Jedni mówili, że gwałtem przez śmielszą partję patryotów narzuconą została większości, że w se-

krecie przez komisję do utworzenia projektu nowej formy rządu wyznaczoną, w gabinecie królewskim ułożoną przez Piatolego Włocha, przez posłów uzbrojonych w orężę i przez galeryę, bez żadnej dyskusji na sejmie wymuszona została; że senatorowie trwogą przejęci, a między nimi wojewoda lubelski ledwie się zdołał schronić, że Suchorzewski, poseł kaliski, w rozpaczę, że wolność ginie, syna małego, który stał przy nim, chciał dusić, że Skórkowski, poseł sandomirski, najsilniej się opierał, że nakoniec podkomorzy lubelski, Dłuski, starzec, którego dziekanem sejmu nazywano, z wielu posłami zaniósł manifest przeciw gwałtownemu narzuceniu narodowi konstytucyi, gwałcącej prawa kardynalne, do czego w instrukcyach upoważnionymi nie byli. Odpisała na te wszystkie zarzuty „Gazeta Narodowa i obca”, której redaktorami byli najznakomitsi patrioci, jak: Mostowski, Weissenhof i Julian Niemcewicz, oświecała umysły, sztydła z rozsiewanych fałszów, rozgłaszała poklaski, jakie ta konstytucya zyskała w Europie; lecz kiedy już tej ustawy bronić trzeba było, stało się niepodobnem zataić, że, aczkolwiek była zbawienną dla kraju, rozróżniła naród w chwili, w której tylko jedność zbawić nas mogła. Starsi przeto i doświadczeni mówili, czytając jej urządzenia, osobliwie sądownictwa, które ta ustawa poddała pod nową elekcyę, kiedy podług dawnej sędziowie byli dożywotni i niepodlegli. Mówiono, kto sobie mnoży nieprzyjaciół wewnętrznych nie pokonawszy zewnętrznego. Kto dom, nie ubezpieczywszy od słoty i ognia, kosztownymi sprzętami napelnia. Ale pisma ówczesne, których wiele

wychodziło, a szczególnie ostatnie—*O Ustanowicniu i upadku konstytucyi 3 maja*, w Dreźnie wydane, redagowane przez Franciszka Dmóchowskiego, pod okiem Ignacego Potockiego, jednego z twórców konstytucyi, najlepiej, acz nieco stronnie ducha kraju i okoliczności, które na niego wpływały, wyjaśnia. Ja tu tylko wspomnę małe o tejże konstytucyi wiersze:

A wiesz co będzie z wrzasku,  
Gwałt w dziele  
Szumu wiele  
Budowa na piasku.

Odpisał na nie Niemcewicz temi samemi wyrazami:

A wiesz co będzie z nieprawego wrzasku  
Rząd trwały  
Kościół chwały  
Leb sporny na piasku.

Wkrótce jednak sejm uznał potrzebę silniejszego dzieła swego poparcia, wydał więc uniwersał na sejmiki relacyjne i rozjechali się posłowie na prowincye w celu przekonania umysłów i zjednania od województw potwierdzenia jej, przez uchwalone dla króla i dla sejmu dzięki. W Lublinie więc starły się z sobą dwie partye. Na czele anti-konstytucyjnego stronnictwa stanął Dłuski podkomorzy lubelski; Stanisław Potocki bronił jej wymownie i przekonywał o jej potrzebie i dobroci. Książę generał Czartoryski acz był posłem nie znajdował się na tym

sejmiku, oba tylko jego synowie księżę Adam i Konstanty należeli do obrad. Cała młodsza generacya stanęła przy Stanisławie Potockim, mało kto nawet ze starszych popierał podkomorzego lubelskiego, wielką więc większością pochwalono konstytucyę i dzięki za nią zanieść do króla polecono. Wyszedł diaryusz tego sejmiku przez młodego obywatela Ksawerego Raczyńskiego z Kozie napisany i wydrukowany, a że w nim przebijał się duch, obwiniający podkomorzego, ten na niego odpisał z obroną swego przekonania i z powtórzeniem zarzutów przeciw ustawie.

Rok ten cały tak w Warszawie jak na prowincjach przeszedł na zabawach, ucztach, biesiadach, radosnych festynach, zgoła na przedwczesnych tryumfach; uzbrojenia szły wolnym krokiem. Dywizya księcia Ludwika Wirtemberskiego stała w Puławach, brygada jenerała Kościuszki w Lublinie. Jenerał ten skromny w życiu i ściśle łączący w sobie obywatelstwo z rycerstwem trzymał w karności wojsko Trzy były rewie wojska w tym roku, jedna pod Braclawiem pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego, druga pod Gołębim w ziemi stężyckiej blisko Puław księcia Wirtemberskiego, trzecia brygada jenerała Kościuszki pod Lublinem; druga była nader świetna; do tej świetności najwięcej przyczyniła się księżna generalowa Czartoryska, wystąpiwszy na nią z całą elegancyą i romansowością puławską. Wyjechała pod Gołąb w gronie córek i najpiękniejszych dziewic polskich i z orszakiem najcelniejszej młodzieży z Warszawy przybyłej. Najznakomitsze osoby z Warszawy znajdowały się na tym

przełądzie. Księżna Czartoryska z całym urokiem puławskim, z bukietami, z wieńcami, owocami w strojach wiejskich, wśród śpiewów umyślnie na ten obchód przygotowanych: „*Ej, Ej Rycerze, Serca nasze radość bierze*” wieńczyła, częstowała zmordowaną po obrotach młodzież i wodzów. Uciechy, zabawy, tańce, radość trwały kilka dni w Puławach, w których już nie fraki przewodziły, lecz kurtki polskie, rycerskie wąsy i kolory narodowe.

Pod Lublinem odbyła się rewia na placu między Lublinem a Dziesiątą, mniej liczna i świetna jak tamta, nie powiem pod dowództwem, lecz pod inspekcją Rzewuskiego pisarza W. koronnego, którego urząd koronny był tem samym co inspektora. Tą rewią, jakem już wyżej wspomniał, dowodził generał Kościuszko, mając pod sobą trzy pułki piechoty zdaje mi się Czapskiego, Brodowskiego czyli królowy Jadwigi i buławy wielkiej i dwie brygady jazdy narodowej Jana Potockiego i jeśli się nie mylę Łażnińskiego. W pierwszej po raz pierwszy widziałem na dzielnym koniu młodego podówczas Aleksandra Roźnieckiego, jako adjutanta brygadiera Potockiego. Cała ludność, trybunał, szkoły wyległy na ten nowy dla siebie widok. Regiment piechoty okopany między Dziesiątą a Bronowicami, mając po bokach baterye z armatami polowemi i dwa szwadrony kawaleryi pod komendą pana Kościuszki, atakowany był przez dwa pułki piesze i brygadę kawaleryi od Wrotkowa; ściierała się kawalerya z piechotą aż do bagnatów. Pan Kościuszko kilka razy wychodził z okopów i odpierał napadających, dopiero gdy atakujących część obszedł-

szy lasek od Dziesiąty pokazała się w tyle jego, zaczął się w porządku cofać ku miastu, odstrzeliwając z armat i z ręcznej broni. Pisarz Rzewuski klaskał, nie wiem czy to pochlebiało Kościuszce, lecz publiczność brzmiała wiwatami.

Tymczasem już w zimie przeciskały się wieści o bawieniu Szczęsnego Potockiego i Ksawerego Branickiego w Jasach, już szeptano o znowie na obalenie konstytucyi, o sądzie sejmowym na Potockiego, z okazji listu do księcia Potemkina, który, czy przez pomyłkę, czy umyślnie umieścił między raportami swemi do komisyi wojny, jako od generała artyleryi, mówiono nakoniec o złożeniu go z generalstwa. List króla do niego pisany i w gazecie umieszczony, w którym odwoził go od roli Koriołana, i z którym wysłany został do Jass Stanisław Potocki, poseł lubelski, już wszystkie wątpliwości o znowie przeciw krajowi usunął, pokój zaś zawarty przez Rosyę z Turkami blizką wojnę przewidywać kazał. Szczupłe też wojsko w oddziałach pojedynczych ściągać się zaczęło ku Ukrainie, mimo to jednak na wiosnę ogłoszono ów sławny obchód rocznicy ustanowienia konstytucyi 3-go maja. Trybunał koronny już w formie przez tę konstytucyę przepisanej, zjechał w kwietniu do Lublina. Obrany został marszałkiem jego ze stanu świeckiego Grodzicki, krajczy koronny, deputat krakowski, a z duchownego prezydentem ksiądz Trzebiński, kanonik krakowski. Z jaką wystawą odbył się wyżej wzmiankowany obchód w Warszawie, w kościele księży Misyonarzy, odsyłam chcących wiedzieć szczegóły do „Gazety Narodowej i obcej” z owego

czasu. Wiem od brata mego rodzzonego, który później był biskupem kaliskim, a wtenczas, będąc klerykiem w seminaryum warszawskim, asystował prymasowi celebrującemu na tej uroczystości, iż na parę dni przed nią rozeszła się wieść, bądź fałszywa, bądź umyślnie puszczone, że jest spisek na życie króla, że spiskowi ułożyli zabić go wchodzącego do kościoła; to znowu, że podłożono prochy w grobach kościelnych, aby go wraz z sejmującymi w powietrze wysadzić. Te wieści, acz u rozsądnych nie znajdowały wiary, jednak przerażyły i króla i sejm, i natchnęły środki ostrożności. Zrewidowano ściśle groby, pod okiem zaufanych szambelanów królewskich i straż nad kościołem oddano wojsku i policji. Odbył się więc obchód szczęśliwie, ale, jak wiadomo, wśród wielkiej burzy przy procesyi i wczasie zakładania kamienia węgielnego na kościół Opatrzności. Nazajutrz dopiero pękła bomba, nie pod kościołem misyonarskim, ale pod całą Polską, która i kościół Opatrzności i konstytucyę 3 maja, i losy kraju w powietrze wysadziła. W Lublinie dzień 3-go maja także był obchodzony uroczystość przez uczty, bale, iluminacye, transparenty, napisy, wiersze, w których Stanisława Augusta do Solona i Lykurga porównywano. Aloizy Orchowski, jeden z poetów trybunalskich układał napisy.

Tymczasem co się objawiło w Warszawie, już tajonem być nie mogło. Nota pana Bułhakowa podana królowi i sejmowi wykryła konfederacyę Targowicką. Nie Rosya wypowiedała wojnę, lecz konfederacya. Imperatorowa, jako dawna gwarantka rządu Rzeczypospolitej polskiej, na usilne prośby

i błagania, niby zdrowej części narodu skłoniła się do dania jej pomocy ze stu tysięcy wojska. O ile w Warszawie proklamacyami, mowami, sztukami teatralnemi starano się zapalać wzbudzić, o tyle na prowincjach zapalał ten, tylko w młodzieży wzniecony, w starszych znalazł nieprzystępne umysły; studziły go bowiem smutne przewidywania. Przecież objawił się on w całym prawie kraju, gdy w Warszawie na teatrze, podczas granej sztuki Kazimierz Wielki, na słowa wyrzeczone: „gdyby nieprzyjaciele kraju najść go śmieli, stanę na czele ludu”, król wychyliwszy się z łoża, zawołał: „postawię się i wystawię się”. Gotowano się więc na pospolite ruszenie z równym zapalem przeciw zewnętrznemu nieprzyjacielowi, jak przeciw Targowiczanom; ale wojska nasze po pierwszym świetnym starciu się pod Zielęcami cofać się zaczęły. Porozumienie się księcia Ludwika Wirtemberskiego z królem pruskim, porzucenie komendy wojska litewskiego, cofanie się obu wojsk, wyjazd króla do obozu od dnia do dnia zwłóczony, odkrył całą prawdę i niebezpieczeństwo położenia; jakoż wkrótce po bitwie pod Dubienką, trybunał zalimitował się i rozjechał. Konfederacya Targowicka zebrała się w Brześciu. Proklamacye, odezwy, uniwersały, groźby zabrzmiały po kraju. Lublin się wyludnił, miasto się zasmuciło, bo mieszczanie obdarzeni przez konstytucyę 3-go maja, czuli najlepiej, co w zamachu na jej obalenie tracili. Wojska rosyjskie przeszły przez Lublin. Książę Józef i generał Kościuszko okopali się z wojskiem pod Markuszowem, spodziewano się walnej bitwy, stanęło armistycium, a następnie, gdy król przystąpił

do konfederacyi, opadły wszystkim ręce. Prawi obywatele, uprzedzili te wypadki wyjazdem za granicę. Wojewoda lubelski udał się do Galicyi, wiele osób przychylnych konstytucyi to samo uczyniło. Ojciec mój i ja z nim, usunęliśmy do domu przyjaciela, nad samą granicą mieszkającego, oczekując tam dalszych wypadków.

---

## Wspomnienia z konfederacyi Targowickiej.

---

Nie długo Lublin był pustym i wyludnionym, nappełnił go nie sam garnizon rosyjski. — Z prowincyi, z miasta ruszyła się ta licha, nieczemna i podła czereda drobnych urzędniczków i mieszkańców, których niezdolność i ciemnota w przeszłym porządku rzeczy oddalała od znaczenia. — Po wyższych urzędnikach wojewódzkich różnego stopnia opanowali opuszczony plac rejenci, komornicy, subdelegaci, wice-regenci, i z uradowaną twarzą natrzęsali się z tych, którzy przed chwilą znaczyli. — Na wezwanie konfederatów, nie sami, ale z całemi rodami cisnęli się, robiąc sobie zasługę i wstęp przez potwarze, przez kłamstwa i zarzuty przeciw czystym i nieskażonym obywatelom. Im kto mniej i z położenia swego i z nieudolności należał do spraw krajowych, tem chytrze i fałszywiej udawał, że się usuwał lub usunięty był dla nienawiści swojej do sejmu i konstytucyi 3 maja. — Trudno się było prawemu człowiekowi pokazać, żeby nie być celem natrzęsania, lub

protekcjonalnego politowania; każdy z takich nakręciwszy czapkę na bok ledwie nie nosił na czole napisu: „Przyszła nakoniec kolej na nas”. Ten ohydny obraz powtórzył się nie raz w kraju za pamięci mojej, przy każdej gwałtownej zmianie politycznej, ten jednak, który wtenczas nasuwał się na oczy, był ohydniejszym od wszystkich następnych.

Tak ta czereda poszukująca znaczenia, to nikczemne robactwo snuło się i pełzało po ulicach, przyjażniąc się z oficerami garnizonu i czekając na naczelnika; gdy razem stanął przed nimi godny ich przewodca, wyznaczony marszałkiem lubelskim przez konfederacją w Brześciu, ów szuler, jurgieltnik każdej partyi, która go kupić chciała, ów Kajetan Miączyński, generał inspektor wojsk, brat tego, który zginął pod gilotyną w Paryżu, bezczelny samochlubca z niegodziwości. — Przybywszy do Lublina, wybrał z tej czeredy konsyliarzów i zasiadł z nimi. Najgłówniejszą czynnością tej konfederacyi, która w sobie wszystkie połączyła władze, było żywienie wojsk rosyjskich. Zaczęły się więc zaraz prześladowania paletami, oszczędzanie siebie i swoich, uciśkanie, przeciążenie patriotów. Puławy, Kurów, ordynacya zamoyska i wioski prawych obywateli, a osobliwie spóźniających się z wymuszonymi akcesami do konfederacyi ciężko pokutowały. Częściej można było znaleźć wyrozumienie u Rosyan jak u swoich. Miączyński mało się trudził sprawami województw, stał w domu, który później do Humienieckich należał, dawał częste uczy, balował, grał i częstował generałów i oficerów rosyjskich. Spra-

szał nie tylko z Lubelskiego, ale i z Wołynia najpiękniejsze kobiety. Przez Lublin koleją przechodzili generałowie Duninów, Bachmanów, na koniec Miłosiewicz Białorusin, grzeczny i dobrze wychowany człowiek, który na kwaterach w Lublinie pozostał. Przechodził i Waleryan Zubow, młody i bardzo przystojny. Ten na balu u Miączyńskiego spostrzegł młodzieńca, bardzo ładną panią, nazwiskiem Trzecińską, obywatela i podstarosty lubelskiego córkę — potrafił jej się podobać, uwiódł ją i w nocy z domu nieostrożnych rodziców do obozu wywiózł. Rodzice w rozpacz dopiero w kilka dni dowiedzieli się, gdzie się ich córka znajduje. Wszystkie starania i modły do młodego rozpustnika były próżne, dopiero w parę niedziel odesłał ją rodzicom, otrzymawszy od nich przyrzeczenie przebaczenia. Młoda i uwiedziona dziewczyna, długo kryła w domu swą hańbę, postradała los, gdyż już miała narzeczonego w Antonim Radziwińskim, który potem był generałem powstania w rewolucyi Kościuszki, następnie marszałkiem konfederacyi Napoleońskiej, zastępcą prefekta i posiadał Brzezicę i Biskupice za Piaskami.

Wojsko rosyjskie, które weszło do Polski z konfederacją targowicką, ani z swojej postawy, ani z swego ubioru, ani z swego ducha, ani z wykształcenia w dowódcach, nie było podobne do tego wojska, które dziś i liczbą i zwycięstwami, i potęgą, koleją panującym nad Rosyą monarchom taką przewagę nad Europą zapewnia. Jeszcze go nie nadywała duma, jeszcze czuło swój naród w cywilizacyi niższym od innych, jeszcze nie odebrało od sła-

wy chrztu w Paryżu, jeszcze daleka była od niego pogarda i innych ludów, i chętniej obce przejmowało obyczaje, jak narzucało swoje. Byli wprawdzie między wyższymi dowódcami ludzie wysoko co do powierzchowności wykształceni, ze znakomitszych rodzin, a którzy w Petersburgu, w Warszawie lub za granicą wychowanie otrzymali i którzy nawet kobiet warszawskich zwrócili na siebie zalotność, lecz dowódcy pułków, a szczególnie niżsi oficerowie, dalecy byli od tej oglady, która teraz po większej części widzieć się daje. Mało kto z tych niższych dowódców umiał obce języki, byli to rdzenni Rosyanie.—Między oficerami powszechniejszy był język niemiecki niż francuzki, gdyż wielu z tego narodu, znajdowało się w szeregach rosyjskich. Wojsko całe było karne i posłuszne, nie obrażające jak wyżej rzekłem dumą, bądź, że wchodziło do Polski po wojnie z Turkami, ze zmienną koleją szczęścia prowadzonej, bądź, że zajęło kraj w postaci przyjaciół. Kozacy tylko brodaci i w takiej postawie, w jakiej ich znano podczas konfederacji barskiej, w niebieskich kolorach byli naprzykrzonymi i dopuszczali się łupieztwa, które trudno było dowódcom powściągać, chociaż udowodnione surowo karali. Ubiór całej piechoty był jednaki, co do koloru i kroju i nader wygodny. Żołnierz w nim nie był obcisłością skrępowany i miał wolne użycie członków; rajtuzy obszyte skórą wraz z obuwiem złączone, szpencery ściągnięte temi sfałdowanymi na biodrach rajtuzami, taśmą zawiązane, i pasem szerokim włóczkowym opasane, na tym czarna z szklniącego rzemienia ładownica. Na głowie czapka rogata

ponsowa, nakształt konfederatki polskiej, zamiast baranka, białem suknem wyłożona, kitka na wierzchu szczecista, włosy krótko obstrzyżone, składały ubiór pieszego żołnierza, wygodny dla niego i postawny dla oka. Dopiero cesarz Paweł I zmienił go na obeisły strój pruski, na giwery, kaski i harcaby. Kawalerya z huzarów, dragonów i kirasierów złożona nie różniła się od terażniejszej. Ułanów jeszcze nie było. Pułki regularne kozaków pod dowództwem Grekowa, w ponsowych lub granatowych mundurach długich kontuszowych, przypominali kawaleryą polską, a szczególnie pułki wiernych kozaków. Generał Denisow, miał główną nad nimi komendę.

W sąsiedztwie ojca mego pod Bychawą, stała obozem brygadier Nowików, bogaty pan rosyjski i wielki myśliwy, kwaterę miał na folwarku, chociaż mógł ją zająć w pałacu świeżo ukończonym. Na probostwie stał pułkownik Noryn z żoną, oboje rdzenni Rosyanie, nie umiejący żadnego obcego języka. Sam pułkownik był skromny w wymaganiach, ludzki, uprzejmy, sprawiedliwy rzadko mi się w życiu mojem zdarzyło znaleźć poczciwszego człowieka; polubił on dom mego ojca, i często w nim bywał. Brygadier Nowikow, żył dostatnio i gościnnie, lubił aby u niego bywano. Myślistwo trzymał nader liczne; całe dwie karczmy żydowskie w Bychawie zajął na jego umieszczenie. 50 sfór ogarów, 20 smyczy chartów, liczni strzelcy i szczwacze słuzyli do ulubionej jego zabawy. Dowiedziawszy się, że ja młody myśliwy, trzymam w domu ojca mego skromną ale wyborową psiarnię, szukał ze mną zna-

jomości i często zapraszał mnie do siebie; lecz rodzaj jego łowów nie podobał mi się, gdyż to była prawdziwa rzeź zwierzyny i wytępienie jej w całej okolicy, osobliwie zajęcy, lisów, gdyż na grubego zwierza nie polował. Gdy obrano jaki ostęp i otoczono go na około szczwaczami i kozakami, sam brygadier z kilku smyczami przy nich się znajdował; po rogach i po przesmykach stali rozstawieni wyborni strzelcy; gdy wpuszczono te kilkadziesiąt sfor w krzaki, gdy wraz z ich głosami, krzyki, trzask harapów, i dźwięki trąb i waltorni dojeżdżaczyw zabrzmiały, taka się wszczęła wrzawa, iż prawie głużyła, i nie tylko zwierz, ale najmniejszy ptak uciekał. Jedną zwierzynę psy w krzakach rozrywały, drugą strzelcy zabijali, uchodzącą w pole szczwacze szczuli. Co uszło przed paszczą psów, zakłute było spisami kozaków, którzy zmordowanego zwierza dopędzali. Po wymaszerowaniu też tego gościa namiastku zwierzyny nie zostało.

Ten brygadyer, upatrzawszy sobie na jednym, polowaniu między memi psami jednego bardzo pięknego, naparł się go, ofiarowałem mu sforę. Chcąc się oddarować przysłał mi bardzo piękną krowę ukraińską i barana wołoskiego niezmiernej wielkości, a wychodząc z Bychawy, ofiarował mi pałasz, który na wojnie tureckiej przy boku nosił, i który miał klingę tulską, bardzo piękną, srebrem dziewerowaną; żegnając się ze mną i ściskając rzekł do mnie: „przyjm na pamiątkę przyjaźni z życzeniem, abyś go nigdy nie dobył bez potrzeby, a nie schował w pochwę bez honoru“.

Czas więc konfederacyi przepędziłem na po-

lowaniu, mało bywając w Lublinie. Gdy konfederacya targowicka wezwała województwa na sejmiki, bo nadchodził czas sejmu grodzieńskiego, już nadto było powodów do smutnych przewidzeń i obaw dla prawych obywateli. I z pomieszania konfederacyi generalnej, w Brześciu obradującej, i z oddalenia się Szczęsnego Potockiego od jej steru, łatwo było wnosić, czego się po nadchodzącym sejmie można było spodziewać. Byli przecież ochotnicy na posłów, lecz prawi obywatele i urzędnicy wojewódzcy nawet zagajenia sejmików uniknąć pragnęli. Wojewoda lubelski, Hryniewiecki, dla wieku i słabości nie bywał na żadnych sejmikach. Podkomorzy Dłuski był w Brześciu czy w Warszawie. Chorąży Poniatowski mieszkał na Wołyniu; kolej więc zagajenia sejmiku, ze stopnia urzędu wypadła na mego ojca; ten, chcąc się słabością wymówić, wysłał mnie z tą wymówką do marszałka Miączyńskiego. Znałem go dobrze, nawet mnie lubił i z przyjaźnią się oświadczał, spodziewałem się więc od niego, lub za jego wstawieniem się wyjednać uwolnienie ojca. Gdy się przed nim stawilem, zapytał się: „Czy pan sędzia przyjechał?” a skoro usłyszał moje wymawiające ojca mego przyczyny, odpowiedział mi: — „to być nie może, pan sędzia musi przyjechać, inaczej wystawi się na nieprzyjemności i sprowadzony tu będzie”. — A gdy powtórzyłem moje prośby i rzekłem, że przecież JW. marszałek zastawiłby powagą swoją ojca mego od prześladowania, — „ja w tem nic nie mogę—dodał—idź, jeżeli chcesz, do generała Miłasiewicza, ale tam nic nie wskórasz, dowiesz się tylko, jak surowe ma rozkazy; ja ci ży-

czę, jak przyjaciel, wracaj do ojca i sprowadź go, —i dodał z bezczelną ironią:—„otóż to tak zawsze w Polsce, kiedy się wiedzie, to panowie są na urzędach i znaczą, a kiedy potrzeba poświęcić się, by kraj ratować, to Miączyński”. — Odszedłem więc i udałem się do generała Miłasiewicza. Wszedłszy do jego salonu zastałem kilkunastu konfederatów targowickich, ochotników ofiarujących się na poselstwo, i tęsknie czekających na sejmiki.—A cóż, pan sędzia przyjechał?—jednogłośnie mnie powitali, gdy oświadczyłem, że nie przyjechał i dla słabości zdrowia nie przyjedzie, powszechnym okrzykiem ozwano się: „to choroba zmyślona”, wszyscy jeden za drugim usuwają się, „więc jakże będzie sejmik, nie dojdzie? to być nie może, próżno szukasz u generała uwolnienia, nie narażaj siebie na jego zły humor, a ojca na przymus i prześladowanie, wracaj do ojca i przywieź go”. Wśród tego żywego sporu wyszedł generał ze swego pokoju, otoczyli go skwapliwi do usług publicznych goście, i moje przedstawienie się uprzedzili głosem: „Otóż, panie generale, nowa wymówka, niech pan generał nie słucha, to są wybiegi, to są złe chęci, pan sędzia może przyjechać i powinien”. Znany byłem generałowi, przywitał mnie z uprzejmą grzecznością; słuchał cierpliwie mojego przełożenia, przerywanego głosami przeczących, ruszył ramionami i rzekł do mnie: „Nie twemu ojcu w tem zdarzeniu pomódz nie mogę, mam surowe od generała Kochowskiego rozkazy, wypełnione być muszą, i chociaż bardzo pana sędziego szacuję, ze smutkiem jestem zagniony oświadczyć, iż mnie pan marszałek przestrzegł, że i pan sędzia

unika zagajenia sejmiku. Wydałem rozkaz, aby szwadron dragonów udał się do Gałęzowa na egzekucję, jeżeli chcesz ojcu oszczędzić dalszych przykrości, pośpiesz do niego i namów, aby się nie upierał". Na te słowa, ile młodemu, łzy mi się w oczach zakręciły. Generał spojrział na mnie i pomówiwszy nieco z obecnymi, wrócił do swego pokoju. Otóż na nowo obskoczony od moich antagonistów, z radosnemi i szyderczemi twarzami, i naglonym się widzę, abym jaknajprędzej podążył po ojca. Gdyśmy wyszli na dziedziniec, adjutant generała wybiegł za nami, i pytając się o mnie oświadczył, że mnie generał wzywa. Gdy wszedłem do jego pokoju, wziął mnie za rękę, zaczął mnie ścisnąć i rzekł: — „Poczeiwy chłopcze, chociaż mam surowe rozkazy, wszystko zrobię dla ciebie, zasmuciłem cię w obecności tych panów, musiałem to mówić, coś słyszał, bo mnie gotowi oskarżyć, jedź więc do ojca, ja daję zaraz rozkaz, aby szwadron wojska ustąpił, a powiedz ojcu, niech się usunie z domu; sam wracaj i powiesz tym ichmościom, żeś już ojca nie zastał w domu. Zachowaj to u siebie, ja mam krew polską w sobie i cierpię, widząc tyle zaślepienia i podłości". — Odszedłem z wdzięcznością i z uwielbieniem dla szlachetnego Miłasiewicza, z pogardą i nienawiścią przeciw moim instygatorom. Nie zjechał więc mój ojciec, znalazł się jednak taki, co przymuszony może zagaił sejmik. Zostali posłami ci wszyscy, którzy się ubiegali o ten urząd. Wróciwszy przepłacili wstydem, zgryzotą i może łzami skruchy, prócz Miączyńskiego. Od sejmu grodzieńskiego już go nie widziałem. Słusznie też o tej konfедера-

cyi rzekł Molski w swoich wierszach do Stanisława Augusta, w której konfederacyi nie wiedzieć, co więcej obwiniać, czy dumę, próżność, zaślepienie, lub podłość, niekzemność i zbrodnię. Zwodzili się i zwiedli.

Tak gdy się ludzą, zwodząc, kłamią nam i sobie,  
Nie spostrzegli, że skaczą, na ojczyzny grobie.

---

## Wspomnienia moje z powstania Kościuszki.

Już po bitwie pod Dubienką i nastąpieniem armistycyumu pod Markuszowem, gdy się wojska rosyjskie rozłożyły po kraju, można było spostrzegać jakie imię Kościuszki robiło wrażenie na szeregach tego wojska, równie jak na umysłach mieszkańców. We Lwowie, gdzie się był usunął, taki się objawił zapał, że rząd austriacki w grzecznym sposobie oświadczył mu, aby się oddalił do innej prowincyi austriackiej i nie stał się niewinną przyczyną niepokojności. Kościuszko, udając się do Drezna, wstąpił do Zamościa do pani ordynatowej Zamoyskiej, a ztamtąd uchylił się na parę dni do wsi Wyżnianki pod Kraśnik, dzierżawy Joachima Owidzkiego, rządcy pełnomocnego ordynacyi. Gdy pułkownik rosyjski dowiedział się o tej wizycie, kazał być w pogotowiu całemu pułkowi do wyruszenia, bądź dla czynienia honorów wojskowych generałowi polskiemu, bądź dla ostrożności. W nocy żołnierz, stojący na warcie w bramie, wystrzelił. Pow-

stał alarm w mieście i cały pułk stanął pod bronią. Gdy się zapytała warta sztyldwacha, na co i do kogo strzelił, odpowiedział: Kościuszko się ukazał, a gdy wystrzeliłem przemienił się w kota. Ten wypadek dał razem poznać trwogę i zabobonność, jaką jeszcze tchnął prosty rosyjski żołnierz.

Od chwili zalimitowania sejmu grodzieńskiego i okropnych jego skutków, które acz przewidywano, ale do tego stopnia i w tym sposobie widzieć nie spodziewano się, już dobra harmonia między wojskami dwóch narodów znikła. Z jednej strony żal i nienawiść, z drugiej ostrożność i podejrzliwość na twarzach się malowały. Z Warszawy jednak wychodziły urzędnicy, nakazujące wprowadzenie sądów i administracji policyjnej w okruchu tego kraju według przepisów grodzieńskiego sejmu. Ojciec wyprawił mnie do siostry mojej na Podlasie, gdzie brat mój podczas sejmu grodzieńskiego bawił, abym go zawiózł ztamtąd na dalsze nauki do seminarium Ks. Misyonarzy do Warszawy. Przyjechawszy tam i umieściwszy go byłem z rozkazu ojca u Ks. Skarszewskiego, biskupa lubelskiego i podówczas podkanclerzego koronnego. Odwiedziłem Kieckiego, koniuszego koronnego, który mi oświadczył, iż jeżeli chcę się prezentować królowi, abym się znajdował nazajutrz w garderobie królewskiej rano o godzinie 12-ej. Znalazłem się więc tam, zastałem kilka nieznanym mi osób, służbę królewską, paziów i Kieckiego. Wyszedł król, twarz jego była jeszcze piękna, wspaniała, chociaż już zmarszczkami smutku okryta. Włosy nieco osiwiące, lecz postać cała poważna i przyjemna. Gdy mnie Kiecki

przedstawił, z uprzejmością i czułością pytał się mnie o ojca, wielu mam braci, a gdy mu opowiedziałem i wspomniałem o bracie, w seminaryum będącym, rzekł: „oświadczyć ojcu, że będę o nim pamiętał”.

Powracając z Warszawy zjechałem się z obywatelem kijowskim niejakim panem Pauszą. Długo w Puławach czekaliśmy na przewóz. Na promie mój towarzysz oświadczył mi, że zna mego ojca i zapytał mnie co robiłem w Warszawie i gdzie byłem, a gdy mu powiedziałem, że byłem u Skarszewskiego, zaczął przeciw niemu z obelgami powstawać i dodał: „nie chciałbym być w jego skórze”. Biorąc mnie zapewne za stronnika dworu, z niejaką ostrożnością zemną mówił, z czego wnosilem, że coś wie ale wyjawić nie chce. Powiedział mi tylko, że generał Zajączek z Drezna był w Warszawie, że się widział z generałami polskimi, że miał żywą rozmowę z generałem Igelstromem, i że mu kazano natychmiast wyjechać. Dodał: „policja rosyjska zaczyna być surową, wyjechałem, unikając jakiegoś nagabania”. Powróciwszy do domu, gdy to wszystko opowiedziałem ojcu, rzekł do mnie: „Żydzi coś przebąkują o ruchu wojska ku Krakowu, a wypytywania się i niespokojność oficerów rosyjskich, ma jakieś znaczenie”. Jakoż będąc w Lublinie po 20 marca, już zastałem ciche szemranie o powstaniu w Krakowie i ruch wojska spieszącego nagłym ku Wiśle pochodem. Ostatni przechodził pułkownik Bibikow, który kilku kancelistów grodzkich, przypatrujących się w czapkach na głowie, kazał wziaść na odwach. Wkrótce zaczęły się rozchodzić w se-

krecie akt powstania krakowskiego i proklamacje generała Kościuszki. Mój ojciec zgłosił się do podkanclerzego Skarszewskiego z zapytaniem czy mają się obywatele zjechać w Lublinie, dla reassumowania sądów wśród wieści o niespokojnościach krakowskich. Odebrał odpowiedź, że nie widzi przyczyny dla czego obywatele nie mieliby się zebrać, gdyż zburzenie się w Krakowie jest tak drobną rzeczą, że w tej chwili już uspokojonem być musi. Wkrótce przychodzące z Warszawy wiadomości, o uwięzieniu Stasia Potockiego i Sierpińskiego, o surowych środkach policyi tak generała Igelstroma, jako też marszałka Bielińskiego, przeraziły mieszkańców, gdy wieści o bitwie raclawickiej razem gruchnęły. Parę niedziel zeszło na snuciu się wojsk rosyjskich spieszących ku Wiśle i polskich dążących ku Krasnostawowi, gdy w samą Wielkanoc wiadomość przybiegła z Warszawy, o rzezi w wielki czwartek, w której zacny generał Miłosiewicz raniony został, a generał Gagarin zabity, i o nieczcze generała Igelstroma. Zjechano się więc natychmiast do Lublina, przybył od generała Kościuszki książę Kazimierz Sapieha, jako prosty inżynier z generała artylerji, do zawiązania tego powstania. Na rynku więc lubelskim przemówił i zachęcał. Zawiązał się akt powstania i wybrana komisya pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki, zaczęła swoje urządowanie pod prezydencją Tomasza Dłuskiego, podkomorzego lubelskiego, który gdy się wymówił sędziwością wieku, objął ster Stanisław Kossowski starosta sieradzki. Wielu było ochotników do tej komisji. Targowiczanie pochowali się z obawy zemsty, skoro się wia-

domości rozeszły o wieszaniach i więzieniach w Warszawie. W Lublinie między członkami komisji dały się słyszeć mowy: i tu trzeba tego przykładu. Przecież te groźby przesadzonych patriotów nie spełniły się tylko na jednej nieszczęśliwej ofercie najniewinniejszej. Lokaj pijany jednego z oficerów rosyjskich zabłąkał się przy wyjściu wojska i zaaresztowany został przez policją. Otóż krzyki zagorzalców: powieście, bo to szpieg. A tak najniewinniejszego człowieka bez indagacji, bez sądu, bez przekonania, na postawionej na rynku szubienicy powieszono. Pobledli na to majątniejsi mieszkańcy miasta, a szczególnie bankierowie, którzy z natury swoich stosunków pieniężnych nie mogli nie mieć związków z Rosyanami. Lecz szczęściem dla województwa, że w gronie członków, komisją składających, nie było jak trzech zagorzalców, którzy chcieli małpować Warszawę. Reszta składała się z obywateli osiadłych, umiarkowanych, oświeconych, którzy się krwawym terroryzmem brzydzili i fałszywym patriotyzmem okryte denuncyacje odpychali. Jakoż wkrótce przyprowadzono do Lublina, jak szpiega i zdrajcę zabitego w dyby i pochwyconego z Solca najbogatszego i najznakomitszego kupca izraelitę, niejakiego Sandra, znanego powszechnie z cnót i ludzkości w całej okolicy sandomirskiej. Denuncyantem był niejaki Przybylski, mój współuczeń szkolny. Wezwany na sekretarza tej komisji, mimo chęci, gdyż moim popędem było wejść do wojska, sprawowałem ten urząd, gdy tego nieszczęśliwego więźnia na prostym wieśniaczym wozie pod strażą mieszczan soleckich, przystawiono przed ratusz. Polecono mi z nie-

go zrobić pierwszą indagacją, zatrzymać w więzieniu i zdać raport. Zapieniony denuncyant wykrzykiwał na niego zarzuty, pospólstwo się gromadziło, żyd więzień, wysokiej postaci czarno zarastający, lat około 40 liczący, w atlasach ubrany, ze skrępowanemi przez dyby nogami, nie mógł zleźć z wozu. Kazałem mu zdjąć dyby, a że miałem już wyobrażenie sprawiedliwości i jej form, zacząłem czynić wyrzuty denuncyantowi, że nieprzekonanego własną wolą opętał w więzy. To słysząc, mieszczanie sołeccy, do straży dodani, odezwali się: „Panie, my przysięgamy, że ten kupiec jest niewinny, to jest dobroczyńca naszego ubóstwa”. Ośmielony tem izraelita, zszadony z wozu pod nogi mi się uklonił, i, całując moje ręce, wsunął mi w dłoń list. List ten był od nieznanego mi, lecz dobrze znajomego ojcu memu sędziego Kochanowskiego, posła z województwa sandomirskiego na sejm 1788. W nim znalazłem te słowa: „Nie znam Waćpana ani mu znany jestem, lecz znam i jestem znany ojcu jego. Za tego izraelitę, ztąd gwałtem porwanego, ręczę moją głową, że jest najniewinniejszy. Zaczynasz młodzieńcze swój zawód publiczny w najniebezpieczniejszych czasach. Oznacź swój wstęp szlachetną obroną niewinności, a Bóg ci błogosławić będzie i otrzymasz na całe życie pociechę swego sumienia. Denuncyant jest człowiek tu ohydźzony i złośliwy. Zrobił sobie projekt na majątek tego nieszczęśliwego, że mu się okupić nie chciał”. Uspokoilem żyda nieszczęśliwego, a przeczytawszy *in gremio* list Kochanowskiego, powróciłem do uczynienia indagacji. Niewinność żyda była jawną, poparli ją mieszczanie.

Zrobiłem raport komisji z wnioskiem, aby go natychmiast wypuścić. Próżno trzech krzykaczy sprzeciwiało się wypuszczeniu i wnosiło aby go odsłać do sądu kryminalnego do Warszawy. Komisja większością głosów potwierdziła mój wniosek. Żyd wypuszczonym został. Chociaż go od tego czasu nie widziałem, przy jednym zdarzeniu doświadczyłem wielkiej jego szlachetności i wdzięczności. W niebezpieczeństwie pożaru, które mnie dotknęło, narzucił mi się z nią. Nie byłem w potrzebie jej przyjęcia i odmówiłem. „Ja panu Koźmianowi życie winienem, a on się wziął uiewdzięcznym mię zrobić”,—mawiał przed dziedzicem Solca, ministrem skarbu Matuszewiczem, o czem mi ten powiadał.

Wkrótce wszedł do Lublina generał Grochow-ski może w 4000 wojska, a za nim pułkownik Antoni Radziwiński w 500 ludzi pieszego i konnego powstania. Stanęli obozem pod Wieniawą. Za parę dni pociągnęli nad Wisłę na przeciw Połańca, gdzie naczelnik okopał się i czekał na ściągające się do niego posiłki. Pułkownik Tóliński i podpułkownik Hemling zostali w Lublinie dla uorganizowania pułku jazdy lubelskiej. Rosyanie w nowej sile pod generałem Fersenem i Derfeldem zaczęli się zbierać nad Bugiem. Dla zasłonięcia województwa lubelskiego od napaści, wykomenderowany został z Warszawy generał Kamiński i Wedelszted z 5000 ludzi pod głównem dowództwem generała Zajęczka. Szczupły ten korpus przeszedł przez Lublin aż pod Chełm. Generał Zajęczek podówczas nie miał ani w wojsku, ani u mieszkanców tej reputacyi, na którą potem zasłużył. Był on szczerze z rewolucyą

i był prawdziwym rewolucjonistą. Nieufność na siebie ściągnął początkowemi w młodości z hetmanem Branickim ścisłemi związkami. Na sejmie r. 1788 odstąpił go i przywiązał się szczerze i przez żonę pokrewną Strassera, doktora przy miecznikowej koronnej Humieckiej, siostrze rodzonej marszałka i pisarza Rzewuskich, zostającego, i przez przyjaźń z Kollątajem podkanclerzym koronnym, którego principia demokratyczno-terrorystyczne dzielił, przywiązał się, mówię, do strony anti-rosyjskiej. Ztąd z obydwóch powodów więcej go podzieranono niż mu ufano, a chociaż naczelnik jego zdolnościom i jego prawości i męstwu wierzył, wybór ten na dowódcę nie był zręcznym i tylko brakiem doświadczonych generałów mógł być wymówionym. Zbliżały się stanowcze walki. Pułkownik Toliński, zebrawszy 300 kawaleryi, powołany do generała Grochowskiego nad Wisłę, opuścił Lublin. Komisya lubelska wezwana do generała Zajączka o wsparcie powstaniem słabego korpusu nad Bugiem, niemogącego się mierzyć z siłą generała Fersena, który zamyslał o przeprawie tej rzeki, wyprawiła zebranych pod generałami wojewódzkimi Radzimińskim i Józefem Trzecińskim, nie mającym wyobrażenia o wojskowości, do 3,000 kosynierów i pikinierów. Zjechał do Lublina Potocki Piotr, kasztelan lubelski w randze generała, zjechał pełnomocnik rady najwyższej, profesor, niejaki Tomaszewski dla dodawania ducha mieszkańcom, przyspieszenia uzbrojeń i zaboru sreber kościelnych do mennicy warszawskiej. Wtenczas drzewo Krzyża Ś-go w kościele ojców Dominikanów straciło swoją oprawę kilku tysięcy

czerwonych złotych wartości. Zabrano wszystkie wota i sukienki, kielichy tylko oszczędnie zostawiono. Trzy bryki tem srebrem napakowane, wyprawiono pod strażą do Warszawy. Czyli wszystko w całości doszło, niewiadomo. Publiczność wytykała potem palcami tych, którzy z tego łupieztwa korzystali. Powstanie z kosami i pikami żadnego nie przyniosło pożytku bądź winą nieumiejętnych i nieodważnych dowódców, bądź niesfornością surowych i niewyćwiczonych szyków i mniej zręcznego pospólstwa w lubelskiem niż w krakowskiem. Jeszcze nie została ta gromada doprowadzoną do placu bitwy pod Chełm, gdy na sam odgłos armat rozpierzehła się bandami, postrach rozniosła i cofanie się regularnemu wojsku utrudniła. W jednej chwili rozbiegły się w Lublinie wieści o przegranej bitwie przez generała Zajączka pod Chełmem. Poranieni rozszerzyli postrach przesadzając klęskę. W istocie Zajączek acz mimowolnie przez generała Wedelszted wciągniony do bitwy, wycofał się z niej z małą bardzo stratą. Poległo wprawdzie kilku walecznych oficerów, a między nimi podpułkownik Chomentowski, któremu kula armatnia głowę na bateryi urwała, lecz armaty ocalały. Komisya lubelska w oczekiwaniu pewniejszych wiadomości odbywała zwykle posiedzenia, gdy wszedł do jej sali mężczyzna wysoki, przystojny, w ciemnej bajowej wołoszce z czarnym bandoletem przez ramiona; włosy na głowie gładko uczesane, śmiały krok, jakim ku prezydującemu postępował, wydawały wojskowego wyższej rangi. Gdy się zbliżał rzekł dobitnym głosem: „Jestem generał Zajączek. Nie byłem szczęśliwy odeprzeć

silniejszego nieprzyjaciela pod Chelmem, cofam się, lecz pod Lublinem bić się zamyślam. Czy są przysposobione środki obrony dla miasta, bo może będzie wystawione na walki na ulicach". Na to jeden z członków komisji, Tomasz Dederko, który się był ożenił z młodą osobą będąc już podeszły wiekiem i posiadał w Lublinie na ulicy Panny Maryi dom piękny, świeżo wystawiony, ale drewniany, odezwał się: „Panie generale, w cóż się nasze domy obróca?” Na to generał w żywym uniesieniu: „Kto Waćpan jesteś? I Waćpan myślisz o swoim domu kiedy ojczyzna woła o ofiary życia i majątku. Waćpan nie powinienes tu siedzieć, nie masz ducha patryotycznego i jeszcze go zabijasz w drugich. Ja cię każe w kajdany okuć i do sądu kryminalnego do Warszawy odeśle”. Na to Grabowski podkomorzy krasnostawski, znajomy dawny generała odezwał się: „Panie generale, nie posądzajmy się.” „Cóż mi Waćpan zarzucisz?”—odpowiedział z gniewem Zajączek.—„Że nie wygrałem bitwy? Bronić się będę pod Lublinem i w Lublinie. Czy są skóry mokre do nakrycia dachów, czy są narzędzia do gaszenia ognia, czy jest generalne powstanie?” „Prosimy o dowódcę—zawołali wszyscy—aby się z nami naradził, a wszystko będzie”. „Powinno już było być—rzekł generał—przyślę dowódcę, ale to na próżno, bo w tem województwie niema ducha patryotycznego” i w największym gniewie wyszedł. Grono komisji, jakby piorunem uderzone oniemiało i niewiedziało co ma czynić. Dowiedziawszy się, że generał Wedelszted przybył do Lublina, wysłało do niego deputację z Grabowskiego i Stryjeńskie-

go po radę, lecz lękliwy Niemiec oświadczył, że będąc podkomendnym generała Zajączka skarg przeciw niemu słuchać nie może, a nie mając od niego rozkazu, w nie się wdawać nie chce. Tymczasem wojsko, cofając się pod Lublin rozłożyło się między Tatarami i Krępcem. Z wież i dymników Lublina można było widzieć te szczupłe szeregi. W tem gruchnęła smutna wiadomość o przegranej bitwie przez naczelnika pod Szczekocinami. Ta wieść zapewne zmieniła plany generała Zajączka. Na wszelki przypadek Lublin wyludniać się zaczął i komisya wzięła determinacyę w razie cofania się wojska trzymać się jego i za nim wyjechać. Ja zawsze miałem podwodowe konie i bryczkę. Ułożyłem się z Pawłem Stryjeńskim, że razem ruszymy. Jeszcze przed świtaniem gdy leżałem w łóżku wpadł do mnie młody kancelista, Feliks Rojewski i zawołał: „Waćpan śpisz a wojsko się już cofa”. I spostrzegłszy moje pistolety, każdy dwoma kulami nabity, porwał jeden, zmierzył do siedzącego i rzekł: „Strzelę ja do Waćpana”. Ledwie wyrzekłem: „Nabity!” Kurek spuszcza i pali o trzy kroki. Dwie kule, jedna około głowy, druga obok piersi mijają mię szczęśliwie. Tynk tylko ze ściany obsypuje mię, dym ogarnia. Nieostrożny winowajca upuszcza na ziemię pistolet i ucieka. Nie pokazał się aż się dowiedział, że mnie nie zabił. Wsiadłem na konia i złączyłem się z wojskiem, maszerując obok pułkownika Zaremby aż do Puław, gdzie po przygotowanym moście wojsko przechodziło. Członkowie zaś komisyi zatrzymawszy się w Puławach, wysłali mię kuryerem do obozu naczelnika z zapytaniem co

ma przedsięwziąć komisya. Nie wiedziałem gdzie się mam udać, jechałem na Radom, gdzie od prezesa komisji Strasza dowiedziałem się, że się go spodziewają pod Radomiem. Pojechałem więc przez lasy i zetknąłem się z przednią strażą na drodze za Kozłowcem. Ujrzałem cały uszczuplony korpus, oddałem ekspedycję naczelnikowi, który mi kazał jechać za sobą do Kozłowca. Tam w małym folwarku rzekł do mnie naczelnik: „Niech komisya ile możności trzyma się kraju, by zawsze mogła rozpocząć swoje czynności. Gdyby zaś nie widziała się bezpieczną, niech się uda do Galicyi, tam ją przyjmą, a wkrótce na swe urządowanie powróci. Pułkownik Fiszer da ci ekspedycję i wracaj z nią”. Powracając w małym miasteczku zastałem wielką opakowaną karetę, do której sześć koni miejskich zaprzęgano. Siedziały w niej kobiety. Była to miecznikowa koronna Humiecka, ujeżdżająca z Warszawy do Zamościa. Gdy burmistrzowi okazałem rozkaz od komisji radomskiej, aby mi wszędzie konie skwapliwie dawano, burmistrz wyprzągnął koni parę z pojazdu pani miecznikowej i do mojej bryczki założyć kazał. Wtedy odezwał się głos z karety: „Proszę, proszę do siebie pana oficera”, gdyż ubiór mój był na wpół wojskowy. Miecznikowa koronna, kobieta już w wieku i ledwo patrząca na oczy, zapytała się mnie o nazwisko, a gdy się dowiedziała: „A to moja znajomość!—zawołała — znam ojca, przyjaciółką jego jestem, biagam cię nie rób mi tej przykrości; nie uciekam, ja jestem duszą i sercem z rewolucją, ale z moim wzrokiem spieszę do doktora do Zamościa”. Modlitwy jej rozczerliły mnie. W młodych

piersiach rzadko bywa serce twarde. Ułatwiłem jej wyjazd, lecz za to sam pieszo musiałem iść aż do Lipska, gdyż liche konie, które mi zaprzężono, ustały. Tam się zjechałem z członkami komisji i tam dowiedzieliśmy się, że generał rosyjski Derfelden wszedł do Lublina i że żadnego prześladowania na członkach komisji w mieście pozostałych nie dopuścił się. Nałożył wprawdzie zł. 100,000 kontrybucji, którą potem na prośby deputacji miejskiej na 30,000 zniżył. Za to miastu dał opiekę. Dowiedziawszy się że wojsko odbija sklepy, skarcił łupieństwo i dał warty sklepom. Ludzki, szlachetny, nie chciał przyjąć żadnego daru dla siebie od miasta. „Dość jesteście nieszczęśliwi—mówił—abyście jeszcze mnie mieli obdarzać, ja mało potrzebuję i mam wszystko od mojej monarchii, dość dla mnie, gdy mi zachowacie pamięć”. Ten sam generał, znajomy i przyjaciel marszałka Potockiego, przechodząc przez Kurów, osłonił go załogą i żadnego zaboru wojsku nie dozwolił. Dodam, że gdy później już za panowania cesarza Aleksandra przez Lublin przechodził, miasto, pamiętne jego dobrodziejstwa, wysłało do niego deputację i powtórnie wystąpiło z darami i dziękami. Nie przyjął pierwszych, wszystkich uściślał jak znajomych i rzekł do nich: „Nie zapomnieliście o mnie, tu jest moja nagroda” i wskazał na serce. Ja dodam: *Sunt sua praemia laudi*.

Z Lipska komisja udała się do Sandomierza z wszystkimi członkami i aktami. Przebyliśmy tam Wisłę i wjechali do Galicji. Przepuszczono nas bez żadnego utrudzenia. Przepuszczono nawet akta komisji, chociaż przez skrzynie i worki dziurawe prze-

glądały proklamacye mające napis: Wolność, Całość, Niepodległość. Udała się komisya w gronie do Szczebrzeszyna, gdzie wielu znalazła emigrantów. Wysłano mnie do Zamościa do pani ordynatowej Zamoyskiej, celem wyjednania członkom komisji wolności umieszczenia się w Klemensowie, lub Zamościu. Udałem się do Joachima Owidzkiego, pełnomocnika zaufanego pani Zamoyskiej. Przyjął mnie z serdecznością, jako znajomego sobie ze szkół Zamoyskich. Poszedł on zaraz do barona Mandorfa, kreiskapitana, w celu wyrozumienia, czy nie będzie przeszkody stawiał, i oświadczył mi, że rząd austriacki członkom komisji z rodzinami, jako prostym, emigrantom, nie wzbrania umieszczenia się, gdzie chcą, po wsiach lub w miastach, w Klemensowie lub Zamościu, byle nie gromadnie i byleby nie rozpoczynali żadnego urzędowania, gdyż temu by przeszkodzić musiał. Rozjechali się więc członkowie, jedni do Zamościa, inni do Lwowa, inni w małych miasteczkach osiedli. Tymczasem po przejściu Rosyan przez Lublin, wkroczył w województwo lubelskie generał austriacki Majenszerm w 3,000 lub 4,000 wojska i zajął Lublin. Odcięci od wszystkich wiadomości, unikaliśmy komunikacji listowych, a wieści od ust do ust powtarzane, nie pewnego nie przynosiły, gdy powróciwszy ze Lwowa do Zamościa, jeden z członków komisji, Tadeusz Kownacki, przywiózł nam pocieszającą wiadomość o powstaniu Wielkopolski, o odstąpieniu króla pruskiego od Warszawy, o cofnięciu się wojsk rosyjskich ku Brześciowi. Tych wiadomości udzielił mu generał komenderujący we Lwowie i Galicyi, i powie-

dział mu słowa:—„Winszuję Polakom, dobrze idzie wasza sprawa. Król pruski odstąpił od Warszawy, wojska rosyjskie cofają się, my na chwilę zajęliśmy Lublin, lecz się natychmiast cofamy. Możecie z bezpieczeństwem do waszego urzędowania powrócić”.—Zaczęliśmy więc pojedynczo powracać. Nie zastaliśmy już Austryaków w Lublinie. Nie mogliśmy się tak prędko zebrać i reasumować komisyi. Pocięliśmy się wiadomościami o zwycięstwach generała Dąbrowskiego nad Sekulim i zdobyciu Łabiszyna. To w Lublinie, to w Lewartowie u księdza kanonika Wilczyńskiego, proboszcza i członka komisyi bawiąc, dosłuchiwaliśmy i oczekiwali dalszych wiadomości, gdyż wiedzieliśmy, że generał Suworow z Brześcia dąży ku Warszawie i kupią się koło niego generałowie Fersen i Derfelden. Nakoniec zgromadziliśmy się w Lublinie. Na chwilę z Grabowskim, podkomorzym wyjechałem do wsi jego Osmolic, w której chciał odwiedzić mieszkającą żonę. Dzień był piękny. Chodzącym po dziedzińcu, dał nam się słyszeć głuchy grzmot, przerywany i wyźnie dosłyszeliśmy huk armat. Służący, przykładając ucha do ziemi potwierdzili, że ten huk jest odgłosem bitwy. Gdyśmy przyjechali do Lublina w kilka dni cała okropna katastrofa maciejowickiej bitwy i nieopłakane jej skutki odkryły się. Generał Majenszerm powtórnie zajął Lublin. Już więcej z niego Austriacy nie wyszli. Spełniły się nieszczęśliwe losy Polski.

Dziwić się wypada, że tego powstania nie mamy dotąd dokładnej historii. Były czasy pomyślne do jej bezstronnego napisania. Nikt o niej nawet

z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie pomyślał. Dwa tylko małe pisma historyczne, jedno prozą po francusku, drugie wierszem w polskim języku istnieje. Obydwa stronne, obydwaj w zupełnej z sobą sprzeczności. Pierwsze ma tytuł „*Histoire de la Révolution de Pologne par un témoin oculaire*”, przez generała Józefa Zajączka w Paryżu wydane, drugie, niewłaściwie nazwane „Stanisłaidą”, gdyż czem innym nie jest, tylko historią Stanisława Augusta wierszami, a raczej jego apologią aż do bitwy maciejowickiej. Pierwsza część jest napisana pięknym wierszem, druga w opisach bitew często w trywialność wpada. Oba, jako przez wojskowych pisane, co do wojskowości mogą być użyteczne historykowi, lecz co do polityki i spraw publicznych, skreślone pod świeżymi wrażeniami urazy, nienawiści lub przychylności przesadzonej, na nie się mu nie przydadzą, gdyż są w najwyższym sposobie stronne. Zajączek, demokrat, terorysta, zapalony stronnik Kollątaja, nienawidzący króla i całej jego rodziny, rozjątrzony swoim i rewolucyi niepowodzeniem, czujący mocno urazę i do żywego obrażony posądzeniami, wszystkie nieszczęścia zwałił na króla i na naród, nawet i województwu lubelskiemu nie przebaczył. O brak patriotyzmu oszkalał go niemilosiernie. Molski podpułkownik, wierszopis, czy ze skłonności, czy z potrzeby wielbiciel i chwalca króla, przyjaciel nadwornego marszałka Raczyńskiego i generała Gorzeńskiego, protegowany przez nich, o wszystkie nieszczęścia krajowe obwinął sejm 1788, nawet rewolucyę Kościuszki potępił.

Te cztery wiersze, które tu przytoczę, bardziejby przystały powstaniu z innej epoki:

Pewnie was to od zgryzot sumienia zasłoni,  
Żeście w najlepszej chęci stanęli do broni.  
Ach! czyli mnie kto nie chce, czyli chce zabije,  
Co mi po jego celach, kiedy ja nie żyję,

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

*N<sup>o</sup> Lrw 228.*



## WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
413.	Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415.	Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416.	General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419.	Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421.	Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422.	W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425.	DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.20	75
426, 427.	OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428.	LARIK. J. Gadomski	40	25
429.	WŁÓCZĘGA W TRÓJKE. Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432.	Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
433.	Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434.	Maurycy Barrès. POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanès i L. Nassa, opracowała K. Płońska	40	25
436.	Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowiadanie	40	25
437.	Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460, 463.	Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	4.00	2.50
440.	Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻENSTWO JAKICH WIELE. Studium powieściowe	40	25
443.	J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447.	Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI. Przekład M. Łaganowskiej	80	50
449, 457.	A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450.	Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNOŃ, przekł. E. Węśławskiej	40	25
451.	Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40	25
452, 453, 454.	PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
455, 456.	Jerzy Rodenbach. DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459.	Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462.	Grazia Deledda. POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram-Kościalkowskiej	80	50
464.	Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	40	25

Tom.

CENA  
w opr. brosz.  
kop. kop.

## Rok 1907.

- |                     |  |      |      |
|---------------------|--|------|------|
| 465, 466, 469, 470. | Jerzy Kennan. SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego  | 1.60 | 1.00 |
| 467, 468.           | PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCYZA OLIZARA. Rok 1831.   | 80   | 50   |
| 471, 472.           | Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO. Powieść  | 80   | 50   |
| 473, 474, 475.      | Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA o życiu towarzyskiem w Warszawie, z przedmową Zdzisława Dębickiego                                       | 1.20 | 75   |
| 476.                | Stanisław Kozłowski. POCHODNIA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem. Wystawiona na scenie Warszawskiej w dniu 16 ym lutego 1907 r.              | 40   | 25   |
| 477, 478, 479.      | Bonawentura z Kochanowa. WINCENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNOŃ. Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego i początku dziewiętnastego stulecia | 1.20 | 75   |
| 480.                | Marion. PAMIĘTNIK. (Strofy liryczne)   | 40   | 25   |
| 481.                | Jerzy Grosjean (deputowany). SZKOŁA I OJCZYZNA, przekład Maryi Wentzlowej  | 40   | 25   |
| 482, 483.           | Zofia Casanova. (Lutosławska). DO KTÓR WOLSKI. (Kartki z życia Polaków i Rosyan). Przekład z hiszpańskiego H. J.                             | 80   | 50   |
| 484.                | Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE. I. Ignacy Chodźko  | 40   | 25   |
| 485, 486, 487.      | Henry Murger. SCENY Z ŻYCIA CYGANERYI. Przekład z francuskiego Zofii Wróblewskiej  | 1.20 | 75   |
| 488.                | Ludwik Włodek. NA PÓLNOCY I NA POLUDNIU. W krainie skār.—Pod niebem błękitnem. Wrażenia i szkice z podróży                                   | 40   | 25   |
| 489, 490.           | E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM. Powieść. Z upoważnienia autorki przetłomaczyła Marya Feldmanowa  | 80   | 50   |
| 491, 492.           | PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA, obejmujące wspomnienia od roku 1780 do rokę 1815   | 80   | 50   |



10072 /  
1